

Krew i błoto

Rozdział I: Czarne chmury

Sekundę po głuchej detonacji pocisk oświetlający wzbił się znad equestriańskich linii w stronę nocnego nieba, zalewając jasnym blaskiem księżycowy krajobraz ziemi niczyjej.

Schwarz Hammer w natychmiastowym odruchu przypadł do ziemi i skulił się pod ubłoconym płaszczem barwy *feldgrau*, starając się zlać z otaczającymi go muldami zrytej ziemi. Chwilę potem od strony ich okopów rozległ się echem huk karabinowych wystrzałów.

„Co oni wyprawiają, do jasnej cholery?”

Przetoczył się w prawo i zsunął na dno głębokiego leja, a może pozostałości jakiegoś starego okopu lub wysuniętego stanowiska. Ześlizgnął się po krawędzi i skrzywił, gdy jego kopyta mlasnęły o zalegającą na dnie warstwę brudnej wody i zgnitego szlamu.

Poderwał się nagle jak oparzony i błyskawicznie podniósł karabin, gdy kątem oka zobaczył tuż obok siebie sylwetkę drugiego kuca.

Zganił w myślach siebie i swoje napięte jak postronki nerwy. Wpatrujący się w niego smętnie pustką oczodołów jednorożec definitywnie był martwy już od dłuższego czasu. Wyliniała skóra ciasno obciągała kości sprawiając, że trup szczerzył się w bielejącej w świetle flary parodii uśmiechu. Płaski hełm z niewielkim daszkiem i charakterystycznym grzebieniem zdążył już częściowo zająść patyną rdzy, zaś z błękitnego płaszcza zostały jedynie bure strzepy opięte resztkami oporządzenia.

Choć minęło może kilkanaście sekund, to miał wrażenie, że leży tam całą wieczność nim pocisk świetlny wreszcie się wypalił, na powrót skrywając wszystko aksamitem bezksiężycowej, lecz gwiazdzistej nocy. Zamknął oczy, by na powrót przyzwyczaić wzrok do ciemności. Nie było słychać już żadnych strzałów z jednej ani drugiej strony. Wychynął ponad krawędź leja i wbił wzrok w ciemność w poszukiwaniu pozostałych członków grupy. Zobaczył, jak z krateru parę metrów dalej wyłania się postać z przewieszonym przez ramię karabinem. Od razu rozpoznał sylwetkę gryfa.

– Pssst, Lutfried, *ich bin hier* – szepnął kuc.

Gryf zbliżył się i przykucnął obok.

– Gdzie Leer? – spytał półgłosem.

– *Hier*. – Kolejny gryf pojawił się tuż przy nich. Jako jedyny z trójki nie miał karabinu, zamiast tego skrywał w kieszeni płaszcza swój nieodłączny rewolwer.

Rozglądali się przez moment starając się znaleźć właściwy kierunek, po czym Leer dał znak i ponownie ruszyli naprzód, nisko przy ziemi ku nieprzyjacielskiej linii. Schwarz pozostał lekko z tyłu, pozwalając prowadzić gryfom, których orle oczy znacznie lepiej radziły sobie w wyłuskiwaniu kształtów pośród ciemności. Skradali się cicho i zwinnie niczym drapieżne koty, którymi w końcu w połowie byli. W tym momencie po raz kolejny przeklinał fakt posiadania kopyt zamiast znacznie sprawniejszych i chwytniejszych ptasich szponów, czy choćby jednorożcowej magii. Mógłby tak jak Leer zadowolić się poręcznym rewolwerem zamiast długiego karabinu, niemiłosiernie objającego się o bok i utrudniającego skradanie.

Na znak Lutfrieda skręcili kawałek w lewo i po kilkunastu metrach zdających się być nieskończonymi milami dotarli do białej w ziemię chorągiewki pozostawionej przez patrol zeszłej nocy. Oni zamierzali dojść dalej.

Teraz już czołgali się na brzuchach, posuwając się powoli po nadal lekko rozmokłym po ostatnim deszczu gruncie, co kawałek zatrzymując się na chwilę i nasłuchując. Już za piętnaście – dwadzieścia metrów powinni dotrzeć do linii drutów.

– *MG-Stellung* na lewo – szepnął Leer. Kuc spojrzał we wskazywanym kierunku i istotnie zdołał dostrzec zarys wysuniętej ziemianki. Trzeba będzie dokładnie zapamiętać tę pozycję.

W tym momencie gdzieś na odległym odcinku odezwał się kaem, rozdzierając nocną ciszę echem krótkich, rwanych serii.

– *Verdammt*, co oni od...

Przerwał, gdy stanowisko obok nich także się odezwało, posyłając krótką serię w bliżej nieokreślonym kierunku. Wszyscy trzej odruchowo skulili się, wciskając się w błoto. Chwilę później znów zapanowała cisza, tak, jakby ta przedziwna, bezcelowa kanonada wcale się nie wydarzyła.

Schwarz podniósł głowę, poprawił pikielhaubę, która zjechała mu na oczy i otarł czoło kopytem, czym tylko bardziej umazał się czarną ziemią. Pomimo chłodu nocy, pod mundurem był cały zlany potem. Ponowili przerwane pełznięcie w kierunku pierwszej linii zasieków. Przebyli kawałek wzdłuż zapory, starając się znaleźć miejsce, którym można by prześlizgnąć się bliżej equestriańskich pozycji. Jednak gęste zwoje tworzyły jednolitą zaporę bez możliwości przecięnięcia się dołem pod gąszczem metalowych cierni.

– Leer, nożyce...

Podczas gdy Lutfried powoli, systematycznie tnąc jedną po drugiej kolczaste nitki tworzył przejście pozostała dwójka nasłuchiwała uważnie. Equestriańczycy wyraźnie byli niespokojni tej nocy.

Wreszcie droga była wolna.

Schwarz zaklął w myślach, gdy skraj długiego płaszcza zaczepił się o drut. Pociągnął leżącego przed nim gryfa za wiszący u pasa bagnet chcąc dać znak, by poczekali. Ten nie zareagował. Kuc miał już odezwać się szeptem, gdy dostrzegł swoją pomyłkę. Ciało gryfa oplątane było nićmi drutu, a otwory po kulach wyraźnie widoczne w materii płaszcza. Zaplątany był bez szans, niczym cel na strzelnicy. Musiał leżeć tam od bardzo niedawna, pewnie był członkiem jakiegoś zabłąkanego patrolu z innej kompanii...

Tymczasem Leutfrieda i Leera nie było widać w ciemności, która stała się nagle ciężka i dusząca niczym ołowiany całun. Zaciśnął zęby i odetchnął głęboko powietrzem, w którym gorzka woń śmierci i zgnilizny stała się nagle przytłaczająco wyraźna. Spokojnie, spokojnie, nie dać się ogarnąć panice.... Najgorsze, co mógł zrobić, to zacząć się szamotać w beznadziejnym odruchu uwolnienia się z pułapki i zwrócić uwagę wrogich żołnierzy, którzy mogli być nawet parę metrów dalej. Wyszarpnął bagnet z pochwy przy pasie i zaczął ciąć materiał. Po chwili był wolny zarówno od drutu jak i od kawałka skraju płaszcza. Lepiej zostawić na zasiekach kawałek sukna niż swoje życie tak, jak ten biedak tuż obok.

Kolejny odcinek był wolny od zasieków. Przepelznął kawałek po porośniętej resztkami trawy ziemi i zsunął się na dno rowu, kiedyś prawdopodobnie wysuniętego stanowiska, teraz do połowy zasypanego przez osunięty podczas ulewy grunt. Wylądował niemalże na głowie Leera.

– To ja, to ja – szepnął jak najciszej nie chcąc być przypadkiem wziętym za Equestrianina.

– Cholera, już mieliśmy po ciebie wracać.

- Idziemy dalej?
- Cicho – syknął Lutfried. – Coś kombinują...

Istotnie, poprzez ciszę nocy zaczął przebijać się dźwięk coraz bardziej energicznej pracy łopatami. Sprawa była prosta – kopali nowe wysunięte stanowisko obserwacyjne przy pierwszej linii umocnień. Skoro patrol dowiedział się, co dzieje się po wrogiej stronie, pora była wracać do własnych pozycji. Tym razem poruszali się znacznie szybciej – uczynni equestriańscy żołnierze robili już swym kopaniem na tyle dużo hałasu, by nie musieli już lękać się zdemaskowania przypadkowym dźwiękiem.

Ponownie kluczyli w ciemności pomiędzy głębokimi lejami. Blisko sto pięćdziesiąt metrów odległości pomiędzy liniami gryfiońskimi i equestriańskimi pozornie mogło wydawać się krótkim spacerkiem, jednak w warunkach zrytej granatami ziemi i nocnych ciemności dystans ten ciągnął się niczym całe mile. Lepiej jednak przebyć ten dystans pod miłosierną osłoną mroku niż w świetle dnia pod kulami wrogich cekaemów.

- Co do... Czy tutaj nie powinno już być naszych drutów?

– Nie wiem... Chodźmy dalej – mruknął Leer, bezskutecznie wbijając wzrok w ciemność.

Kolejny kawałek i ponownie pustka. Schwarz Hammer zaczynał się czuć coraz bardziej nerwowo. Zdecydowanie wolałby już być na swojej pryczy w schronie.

– Czekajcie, są druty. Cholera, a jak zawróciliśmy? Jak mogliby sukinsyny strzelać to oczywiście cicho siedzą...

Jak na życzenie znad przeciwległej strony uniosła się świetlna flara. Teraz wyraźnie dojrzeli swoje pozycje i ścieżkę pomiędzy zasiekami, tę samą, którą wyruszyli na ziemię niczyją.

- Dobra, idziemy.

– Czekaj – syknął Schwarz i wskazał w kierunku, miejsca, gdzie sekundę wcześniej zauważył ruch. Ściągnął z grzbietu karabin i wycelowwał w miejsce, gdzie jeszcze przed momentem zdawało mu się, że widzi sylwetkę kuca.

A jeśli to wyobraźnia i cienie płatały mu figle? Nie! W dogasającym świetle wszyscy trzej widzieli wyraźnie, jak dwie czworonożne sylwetki w płaszczach i płaskich hełmach podnoszą się z ziemi i krótkimi skokami przemieszczają od jednego leja do drugiego, zmierzając w stronę equestriańskich pozycji. Przez głowę Schwarza przebiegła myśl, że musieli rozminąć się po drodze o kilkanaście, a może i nawet kilka metrów.

– Co robimy? – spytał Leer odbezpieczając rewolwer, co miałoby sugerować odpowiedź.

– Nie – pokręcił głową drugi gryf. – Nie ma co ich gonić, a jeśli nasi zaczną walić to też możemy ładnie oberwać. Wracamy.

Szybko przedostali się ścieżką pomiędzy zasiekami.

- *Halt*. Kto tam?

– Patrol. *Schützen* Leer, Schwarz Hammer *und* Kammerstein.

- Posterunek 4/22. Hasło?

– *Tilg die Schmach*.

– *Mit Feindesblut*. Wchodźcie.

Wreszcie znaleźli się w swoich okopach. Leer skierował się na poszukiwanie dowódcy plutonu w celu zdania raportu, Schwarz i Lutfried udali się zaś do schronu, by do rana zaznać choć odrobiny wypoczynku.

*

Usiadł na skraju pryczy i ściągnął z siebie ubłocony mundur. Ochlapał się lekko wodą z miski i poczochnął po grzywie, przeklinając pchły i wszy, wszechobecne w gorącym zaduchu ziemianki wypełnionej fetorem niemytych ciał, parujących wiecznie wilgotnych

ubrań, dymu i nie najświeższego jedzenia. Wziął w kopyta leżące na stole obok pryczy lusterko i przejrzał się w świetle dogasającej karbidówki. Ziemny kuc patrzył na niego stalowoszarymi oczami spod opadającej na czoło strąkami brudnej, przetłuszczonej grzywy. Jasnoszara sierść pociemniała i pokryła się plamami niedoszorowanego od kilku tygodni frontowego brudu. Na lewym policzku zagojona już blizna po draśnięciu bagnetem. Obraz ostatnich dwóch lat jego życia.

Kolejny poranek na pierwszej linii powitał ich paskudnym zimnem, mżawką i wszechogarniającą szarością.

I ostrzałem equestriańskiej artylerii.

Siedzieli stłoczeni w podziemnym schronie słuchając, jak z przytłumionym hukiem rozrywają się na zewnątrz granaty wystrzeliwane z ciężkich haubic stojących za linią frontu, siejących spustoszenie ze swoich odległych pozycji.

Ziemia drżała. Kurz osypywał się ze stropu przy każdym uderzeniu pocisku, przy szczególnie bliskich trzeszczały stropowe belki.

Siedzieli stłoczeni pod ścianami, możliwie blisko wyjścia, starając się nie myśleć o tym, co stałoby się, gdyby celny pocisk ciężkiej haubicy trafił bezpośrednio nad ich schron i przebił warstwę ziemi, bądź też eksplodował w pobliżu wyjścia. Wiele razy widzieli i słyszeli o biedakach masowo, całymi oddziałami grzebanych w swoich schronach bez szans na ratunek. Jeszcze mniejsze szanse mieli, gdy pocisk przebił strop i eksplodował wewnątrz. Zdarzało się to głównie dawniej, na początku wojny, gdy linie umocnień budowano mniej solidnie, jako tymczasowe kwatery i nikt nie sądził, iż przyjdzie im spędzić w nich kolejny rok pod nieustającym morderczym ostrzałem.

Wszystko było jednak lepsze od nawały na zewnątrz.

Schwarz siedział, trzymając w kopytach karabin i spoglądając na stłoczone wokół masą szarych mundurów postacie. Siedzieli nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń. W takich sytuacjach łatwo było odróżnić żółtodziobów od tych, którzy wachali już proch i smród okopowego błota. Jakiś młody gryf siedział wciśnięty w kąt, ściskając z całych sił karabin, nie próbując nawet ukryć drżenia, wzdrygając się i kuląc panicznie przy każdym bliższym trafieniu.

Dla każdego musiał być ten pierwszy raz.

Dalej będzie już tylko gorzej.

A ten ostrzał i tak nie był jeszcze wcale najsilniejszy. Schwarz pamiętał doskonale, jak sam po raz pierwszy znalazł się pod ogniem artylerii. Doskonale wiedział, co czuje siedzący obok niego popielatopióry gryf, nie potrafiący ukryć szczykania dziobem, wpatrujący się w podłogę szeroko otwartymi błękitnymi oczami.

Przywyknie. Po paru miesiącach do wszystkiego się przywyknie.

Jedynym, który zdawał się zachowywać całkowity spokój był Schwarzhammer, czarny niczym kruk, choć z kilkoma piórami lekko przyprószonymi siwizną, ćmiący swą nieodłączną fajkę.

– Spokojnie, chłopcy. Zaraz skończą. Chcą nas tylko nieco zmiękczyć przed atakiem.

Głuche dudnienie eksplozji przetaczało się nad nimi niczym odległa burza.

Nagle rozległ się potężny grzmot, niczym trzask pobliskiego pioruna. Ziemia posypała się z sufitu, stropowe belki zatrzeszczały groźnie, zachwiała się i zamigotała lampa.

Wszyscy zakotłowali się i skulili odruchowo. Ktoś w kącie krzyknął krótko, ktoś zaklął.

– Spokojnie, spokojnie! Bez paniki! – zagrział Schwarzhhammer. – Było blisko, ale jeszcze nas sukinsyny nie dostali!

Szary kuc otrząsał się i spojrzał na siedzącego obok gryfa, który wyglądał, jak na skraju ledwo trzymanej w ryzach paniki, dysząc ciężko i zaciskając oczy tak, jakby chciał obudzić się ze złego snu i znaleźć gdzieś indziej, zdala od szalejącej nad nimi nawałnicy ognia i stali. Ale trzymał się nadal. Niektórzy już by nie wytrzymali.

Ostrzał słabł stopniowo, wybuchy rozlegały się coraz rzadziej, aż w końcu ucichły zupełnie. Siedzieli przez chwilę w ciszy, która stała się wręcz przytłaczająca, jakby cisza przed kolejną burzą, skoro tylko przeszła poprzednia. Wtedy z zewnątrz rozległ się dźwięk dzwonka alarmowego i przeciągły wizg oficerskiego gwizdka.

– Dalej, dalej, na pozycje, ruszać się! – zakomenderowano. Wszyscy powstali i ruszyli w kierunku wyjścia, jakby chcąc wyrwać się z dusznej, mrocznej klatki, choć wiedzieli, lub przynajmniej wyobrażali sobie, co czeka ich na górze.

Prawie wszyscy. Niebieskooki gryf nadal siedział nieruchomo, niczym skamieniały. Schwarz szarpnął go zębami za kołnierz. Ten, otrzeźwiał, potrząsnął głową i ruszył wraz z resztą na zewnątrz.

Powietrze wypełniał ostry swąd kordytu wymieszany z zapachem rozoranej ziemi. Dym unosił się siwą mgłą.

– Na stanowiska bojowe! Bagnet na broń! Przygotować się!

Do wtóru wykrzykiwanych przez oficera rozkazów biegł na pozycję wraz z resztą drużyny. Przeskoczył nad kupą ziemi z osuniętej ściany okopu, przecisnął się pod na wpół zawalonym blindażem. Wskoczył na parapet strzelecki, oparł Mausera o krawędź wyłożonego workami przedpiersia okopu. Wsunął kopyto w kabłąk i położył na spuście.

Czekał.

Znad krawędzi widział skrawek ziemi niczyjej zasnutej dymem i mgłą. Straszliwej, spustoszonej, martwej ziemi, o której marny skrawek setki oddały i oddadzą życie wśród wypełnionych zatrutą wodą lejów i błota, nad którym wyrastały jedynie kikuty pokaleczonych drzew.

Tam mieszkała tylko śmierć.

Ujrzał ich. Sylwetki w błękitnych płaszczach wylaniały się z mgły niczym zjawy. Karabiny z nałożonymi bagnetami trzymali przewieszane na szyjach.

Przycisnął kolbę karabinu do ramienia.

– *Feuer!*

Salwa przeszła poranną mgłą.

Pierwsze szeregi tyraliery padły niczym rażone gromem. Jednak za nimi wylanieli się kolejni. Strzały padały gęsto z obu stron.

Przeładował i wziął na cel kuca, który właśnie przyklęknął i przymierzył się do strzału. Spudłował. Przeładował ponownie, jednak tamten już osuwał się na ziemię.

Okrzyk wzniósł się nad polem bitwy. Kolejni nacierający pojawiali się z mgły, prąc nieprzerwanie do przodu. Pokonali zmiecioną bombardowaniem pierwszą linię zasieków, nieubłagane zbliżając się coraz bardziej. Wreszcie odezwały się cekaemy, kosząc seriami całe grupy, resztę zaś zmuszając do padnięcia na ziemię i znalezienia osłony.

Schwarz skulił się, gdy pocisk trafił może kopyto od niego. Zauważył, jak kilku żołnierzy czołga się ku przedpiersiu okopu.

– Gunther, granatem ich!

Gryf wyciągnął zza pasa granat na drewnianym trzonku, odkręcił osłonkę, pociągnął sznurek zapalnika i rzucił. Granat koziołkując poleciał łukiem, upadając prosto pomiędzy

czołgającymi się. Strzępy poleciały w powietrze do wtóru huku detonacji.

Atakujący zbliżali się jednak nieprzerwaną falą, miejscami docierając do przedpiersia. W ruch szło coraz więcej miotanych przez obie strony granatów. Wybuchy mieszały się z coraz częstszymi krzykami rannych.

Schwarz ukrył się, by przeładować. W tym momencie tuż nad nim z hukiem eksplodował granat, ogłuszając kuca i zasypując go ziemią. Uszy wypełnił mu jednostajny pisk.

Coraz więcej szturmujących zdołało przedrzeć się przez zapory i dotrzeć do okopu. Rozpoczęła się bezpardonowa walka wręcz.

Ledwo zdążył przeładować, gdy może dwa metry od niego znalazł Equestriańczyk. Nie mierząc strzelił, jednak kula minęła o cal zielonego jednorożca, który rzucił się na niego z uniesionym do śmiertelnego ciosu bagnetem. Odbił go i zablokował instynktownym, wyuczonym przez dziesiątki godzin szkolenia odruchem. Nie miał miejsca, by wykręcić długim karabinem do pchnięcia, zamiast tego doskoczył do przeciwnika i trzasnął go kolbą. Ten zatoczył się na ścianę, po czym po kolejnym masakrującym jego twarz ciosie osunął na ziemię.

Schwarz czuł, jak bitewne podniecenie wypełnia ogniem jego ciało. Gdy dochodziło do brutalnej, bezpośredniej walki na śmierć i życie każdy zmieniał się w żądną krwi dziką bestię. Liczył się tylko przeciwnik i to, jak pozbawić go życia zachowując własne.

Siec, kłuć, bić, rąbać. W okopach nie ma innych zasad.

Pomimo ognia zaporowego kaemów napastników było coraz więcej. Okop wypełniła szaro-niebieska masa ciał, splełanych, kłębiących się w morderczej jatce na bagnety, kolby, noże, szpony i kopyta.

Wydobył zza pasa saperkę i zamachnął się na kuca, który zamierzał się do ciosu na odwróconego Gunthera. Płaskie uderzenie zadźwięczało o hełm. Żołnierz zatoczył się ogłuszony i wtedy otrzymał straszliwy rąbiący cios zaostrzoną krawędzią łopaty.

Trupy i ranni leżeli pomiędzy walczącymi, krew płynęła pomiędzy wykładające dno okopu drewniane deski.

Schwarz padł przygnieciony ciężarem kuca, który skoczył mu na plecy. Na chwilę stracił oddech i cudem uchylił się przed ostrzem lecącym ku jego grdyce. Zwarli się w uścisku. Brązowy ogier był ciężki i silny. Schwarz miotał się, próbując go zrzucić, zarazem blokując kopyto, w którym trzymał bagnet. Pociemniało mu przed oczami, gdy drugie kopyto trafiło go w twarz. Poczuł w ustach smak krwi.

W tym samym momencie Leer wbił w szpony w poły płaszcz brązowego kuca, odciągnął go przycisnął do ściany. Schwarz, rozpaczliwie łapiąc oddech, chwycił karabin i przyszpilił go pchnięciem, niczym motyla w kolekcji.

Equestriańczycy wycofywali się, poganiani ogniem. Okopami łącznikowymi nadciągały posiłki z tylnej linii. Sygnał gwizdka przeszył powietrze, przedzierając się przez zgiełk.

Sygnał do kontrataku.

Okrzykiem z dziesiątek gardeł wspinali się na przedpiersie i wylegali szarą masą na ziemię niczyją, ścigając uciekających.

Biegli przez zryte ogniem pustkowia ku equestriańskim liniom mającym w rozrzedzającej się mgle. Co chwilę jeden z uciekających padał, rażony ogniem z tyłu.

Schwarz przyklęknął i wziął na cel biegnącego przed nim. Strzał, kuc zwał się w błoto, jakby ktoś podciął mu sznurki. A on biegł dalej, przeskakując leje i ciała, czuł, jak euforia i żądza walki dodają mu skrzydeł.

Equestrianie dopadali swoich okopów, otwierając ogień. Zadudniło stanowisko cekaemu, to samo, na które natknął się nocny patrol. Schwarz padł, gdy tuż obok niego

seria wyrwała gejzery błota.

Ich kontrnatarcie załamywało się niczym fala na zasiekach i ścianie ognia zaporowego.

Eksplodujące ziemi podnosiły się na ziemi niczyjej pomiędzy atakującymi. Wstrzelana artyleria polowa ukryta za pierwszą linią.

Cholera, dlaczego kiedy to oni byli atakowani nie było ich artylerii?

Zaczęli się wycofywać, rażeni zarówno ogniem z tyłu, jak odłamkami eksplodujących pocisków.

Schwarz kluczył od leja do leja, kule i szrapnele świszczwały mu wokół głowy.

– *Hilfe! Hilfe!*

Rozpoznał go od razu. Niebieskooki gryf leżał na dnie leja, krew ciekła mu pomiędzy szponami zaciśniętymi na ranie na udzie. Wyraźnie było widać, że obie nogi na pokaleczone odłamkami.

Kuc doskoczył do niego i zarzucił jego ramię na szyję. Ciągnął go ku zbawiennej linii okopów, jednak wlokący za sobą bezwładne nogi ranny był zaskakująco ciężki. Nagle ciało gryfa rozświetliła błękitna aura, za ciężar w jednej chwili się zmniejszył. To jednorożec Federkiel biegł obok nich, samemu utykając na przednie kopyto. Tuż za nim lewitował jego karabin, także otoczony niebieskim nimbem.

Przebiegli przez zniszczone zasieki, dopadając schronienia. Przy pomocy jednorożca ostrożnie ułożyli rannego.

– *Sanitäter!*

Obie tylne łapy miał głęboko pokaleczone, najgorzej wyglądała jednak głęboka szrama ciągnąca się na udzie i biodrze. Otępiały ranny nie reagował, gdy starali się prowizorycznie opatrzyć go bandażem. Bez wątpienia był w szoku, ale gdy tylko opadnie stres, będzie wył z bólu. Po chwili pojawiło się dwóch sanitariuszy, którzy złożyli rannego na noszach i odnieśli na drugą linię, do polowego punktu opatrunkowego, skąd trafi na tyły do bezpiecznego szpitala, z dala od huku granatów i świszczących kul.

– Szczęściarz – mruknął Schwarzhammer. – Nóg może nie straci, a zawsze jakaś szansa, że go odeślą.

Tymczasem drugi Schwarz Hammer oparł się o deski ściany okopu i usiadł na ziemi, dysząc niczym parowóz. Teraz, gdy odpuszczało bitewne napięcie, zmęczenie uderzyło z podwójną siłą. Teraz dopiero zauważył, że krew z rozcięcia koło ucha leci mu za kołnierz. Został ranny w walce wręcz, czy zaczął go odłamek? Odkręcił manerkę z wodą i przyssał się do niej chciwie.

Po raz kolejny przeżył.

A ile razy jeszcze przed nim?

Dzień był wyjątkowo pogodny i ciepły. Rozsiedli się więc na trawie nad brzegiem rzeki, na płaszczach i kocach. Większość gryfów ściągnęła bluzy mindurowe i koszule, korzystając z okazji do rozprostowania skrzydeł. Na froncie i tak prawie nikt, z wyjątkiem lotników, nie próbował nawet latać. Lecący gryf czy pegaz był po prostu ruchomą tarczą strzelniczą. Bezpieczniej było kryć się niczym robak przy ziemi i w wygrzebanych norach.

Stacjonowali w niewielkiej wiosce kilka kilometrów za linią frontu, oddelegowani na krótki odpoczynek po niemal trzech tygodniach służby w okopach, w tym tygodniu na

pierwszej linii. Standardowy układ, gdzie z trzech batalionów pułku jeden stacjonuje na czołowej linii, drugi kawałek za nimi, w linii pomocniczej, trzeci zaś odpoczywał w prowizorycznych kwaterach na bezpośrednim zapleczu. Mieli tu skromne drewniane baraki z siennikami, dostęp do polowej kuchni i bieżącej wody – wszystko, czego tak brakowało w okopach. I tak krążyli między służbą a odpoczynkiem, zmieniając się na każdej z trzech pozycji co tydzień – dwa. Na odcinkach naprawdę ciężkich walk jedna tura trwała nierzadko zaledwie trzy – cztery dni. Więcej mało kto zdołałby wytrzymać.

Teraz jednak całą swą uwagę poświęcali czerpaniu ulotnej, prostej żołnierskiej radości z chwili wytchnienia.

Siedzieli całą grupą przy ogniku, nad którym obracając się skwierczała apetycznie gęś, roniąc krople tłuszczu, które spadały z sykiem w ogień. Trójka kuców zadowalała się tymczasem znalezioną w jednej z piwnic skrzynią marchwi i jabłek. Cała ta uczta, stanowiąca miłą odmianę od codziennego wojskowego wikt, była dziełem Schwarzhammera, najstarszego spośród ich grupy, starego wygi obdarzonego niesamowitym nosem do dobrego jedzenia, dobrej kwatery i unikania niebezpieczeństw. Gdyby porzucić go samego na środku pustyni, do wieczora zdołałby zorganizować wieczerzę z pieczeni i daktyli.

Gdyby nie on, połowa ich, młodych, nie dożyłaby pewnie tego dnia.

Zadziwiająca była przypadkowa zbieżność nazwisk pomiędzy nim a kucem Schwarzhammerem, jedyną różnicą pozostawał fakt, iż ten drugi, choć nazywał się po gryficku, to w charakterystyczny dla wielu kuców, nawet zamieszkujących Gryffonię, dwuczłonowy sposób. Toteż sprawnie poradzano sobie z tym przypadkiem, skracając jego miano po prostu do Schwarza. Na czarnego gryfa zaś mówiono zwyczajnie, po imieniu, Otto. Jeszcze ciekawsza była jednak kwestia wyciągniętego na rozłożonym obok płaszczu kasztanowego kuca ziemnego o wiecznie potarganej blond grzywie, któremu na imię było Brown Leaf. O ile kuce, których rodziny zamieszkiwały tereny Gryffonii od co najmniej kilku pokoleń miały powszechnie w zwyczaju nazywać swych potomków imionami pochodzącymi lub nawiązującymi do języka gryfickiego, to on zwał się obcojęzycznie, w sposób do bólu equestriański, który wręcz przez niektórych Equestrian mógłby zostać uznany za pretensjonalny w swym pospolitym brzmieniu. Smaczku dodawał tej sytuacji fakt, iż wywodził się z rodziny od pokoleń zamieszkującej *Griffes Kaiserreich* a wśród jego krewnych i przodków nie brakowało nazwisk, których brzmienia nie powstydzilyby się najstarsze gryfie rody, a niejeden obcokrajowiec połamałby sobie na nich język. Cóż, przynajmniej imię było adekwatne do jego wyglądu i znaczką, jeśli już szukać w całej sytuacji jakiegokolwiek sensu.

Za krążącą od szponów do kopyt flaszką cydru stała natomiast zasługa Federkiela, jednorożca obdarzonego równie niezwykłym i jakże przydatnym talentem do odnajdywania wszelakich trunków. Jedni stawiali za przyczynę naturalne doświadczenie wyrwanego przez wojnę z uniwersyteckich sal studenta, inni zaś posądzali go o tajemniczą jednorożcową magię. Tak czy inaczej mając za kompanów tę dwójkę na pusty brzuch i suche gardło nikt nie mógł narzekać.

Schwarz przejął butelkę i pociągnął łyk. Brakowało mu porządnego, pienistego gryfickiego piwa, tu, w zamorskiej Equestrii, nie mogli jednak liczyć na inne lokalne trunki niż cydr w dziesiątkach odmian i od czasu do czasu różnego rodzaju owocowe wina. Wspominał czasy, gdy po dniu pracy w ojcowskiej kuźni zachodził do gospody, gdzie nad kuflem, w przyjemnej, tradycyjnie urządzonej sali, otoczony przez gwar śmiechu i rozmów spotykał się ze znajomymi lub wymieniał plotki z sąsiadami. Rodzinny dom, matka i siostra krzątające się w kuchni i po obejściu. Twarde, silne ramię ojca, dni wypełnione ciężką, lecz satysfakcjonującą pracą. Szafa w jego pokoju, cała zastawiona książkami, w których

jako żrebał zaczytywał się całymi wieczorami. Marzył wtedy, by wdziać kiedyś wspaniały mundur i zostać jednym z bohaterów wojennych, o których wyczynach czytał tyle wspaniałych historii. Głupie, naiwne żrebiące marzenia. Choć minęły dwa lata, to stare życie wydawało się teraz zupełnie innym światem, innym życiem jakiejś innej osoby. Jak leżące na dnie szuflady zakurzone fotografie, lub wspomnienia snu wyciekające spod powiek bez znaczenia, jak mocno starał się je zatrzymać w pamięci. Teraz był w zupełnie innym świecie. Nawet gdy siedzieli na trawie, ciesząc się wyjątkowo pogodnym dniem, odległy grzmot frontu przetaczał się nad horyzontem nieprzerwanym echem.

Przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu, po czym rozłożyli się wygodnie, poświęcając się trawieniu i kontemplacji okoliczności przyrody. Otto palił fajkę, co jakiś czas puszczając ku niebu smużkę dymu. Brown Leaf drzemał a czapką nasuniętą na oczy. Federkiel siedział ze szkicownikiem, uwieczniając obraz rzeki i rozciągającego się po drugiej stronie zagajnika. Schwarz przyglądał się domom w wiosce. Białe, szachulcowe lub murowane ściany, dachy kryte słomą lub gontem. Wyglądało to niemal identycznie, jak jego rodzinne miasteczko na odległej prowincji Gryffonii. Nawet młyn stojący nad rzeką, o porośniętych bluszczem ścianach, zdawał się wręcz żywcem stamtąd wyjęty. Obraz ten burzyła jednak stojąca w ruinie duża część zabudowań, zniszczona pociskami dalekosiężnej artylerii, nosząca ślady pożarów.

Lutfried pochłonięty był zszywaniem rozdartego munduru, Leer czyszczeniem rewolweru, Gunther natomiast majstrowaniem prowizorycznej wędki z kawałka sznurka i gałęzi gęsto porastającej brzeg leszczyny. Przetrzasał właśnie kieszenie i plecak w poszukiwaniu czegoś, z czego mógłby wykonać haczyk. Jeden tylko Dietrich siedział z dale od reszty grupy, nad samym brzegiem rzeki, wpatrując się zamyślonym wzrokiem szmaragdowozielonych oczu w niosący liście i patyki leniwy nurt. Taki, jak zawsze – cichy, nieobecny, niby razem z resztą maszerujący, znoszący wszelką dolę i niedolę, ale jednak osobno. Jak jednak twierdził Otto „ma chłopak dobre serce i łeb na karku”. Dobrze było go mieć po swojej stronie. Schwarz przekonał się o tym dobitnie, o czym przypominała mu wąska, ledwo widoczna blizna na lewym policzku.

Federkiel skończył rysować, schował szkicownik do plecaka i wrócił do leżących wokół przygasłego już ogniska.

– To jak, *meine Herren*, partyjkę? – spytał, wyciągając magią talię kart z kieszeni bluzy. Wszyscy, z wyjątkiem pogrążonego w błogim śnie Leafa, pokiwali głowami i siedli w kole. Jednorożec przylewitował leżącą w pobliżu skrzynkę po jakichś wojskowych zapasach, umieścił pomiędzy nimi w charakterze stołu i zaczął rozdanie.

Z czasem Brown Leaf obudził się i przysiadł obok, przyglądając się partii.

– Ciekawe, kiedy znowu nas wyślą na front. – rzucił jakby mimochodem. Wszyscy skrzywili się jak na komendę. Kasztanowy kuc zawsze musiał coś palnąć albo pomyśleć głośno jedno zdanie za dużo.

– Żeby cię pokręciło – mruknął Kramer, spluwając. Doskonale wiedzieli, że od dłuższego czasu jest w parszywym nastroju. Choć młodszy niż Otto, to był po nim najstarszym w ich grupie. Wyruszając na wojnę pozostawił gospodarstwo, żonę Erikę i kilkumiesięcznego synka. Z otrzymanego niedawno listu z domu dowiedział się, że plony okazały się w tym roku wyjątkowo mizerne, a sytuację pogarszała narastająca skala wojskowych rekwizycji. W kraju coraz bardziej brakowało zaopatrzenia, wszystko co możliwe przeznaczano na rzecz armii i dalszego toczenia przedłużającej się o kolejne miesiące wojny. On martwił się jedynie, czy jego rodzinie wystarczy zapasów do przetrwania najbliższej zimy.

– Oby jak najpóźniej – stwierdził oczywistość Otto, spoglądając w swoje karty z dezaprobatą. – Ale czuję w kościach, że coś większego nam szykują.

Resztę partii grali w milczeniu. Wszelkie przeczucia Otta sprawdzały się nadzwyczaj często.

– Byłem w szpitalu, odwiedzić Fuchsa – Lutfried przerwał wreszcie niezręczną ciszę.

– Niech cię szlag. – Leer spojrzał na niego z wyrzutem. – Mogłeś nam powiedzieć, że idziesz, razem byśmy odwiedzili rudzielca. Gadał, co z nim!

Fuchs został ranny podczas ich poprzedniej próby ataku na equestriańskie pozycje. Gdy się wycofywali, pocisk artyleryjski eksplodował tuż obok niego. Pod ciężkim ogniem nie mieli najmniejszej szansy dotrzeć do rannego i ściągnąć go z pola. Dopiero po zmroku zdolali wysłać w jego poszukiwaniu patrol złożony z Leera, Schwarza i Federkiela. Gdy znaleźli go ukrytego na dnie leja wyglądał okropnie. Połowę twarzy zranioną miał szrapnelem, jedno ze skrzydeł tragicznie połamane, nogę przestrzeloną kulą z karabinu. Nieprzytomnego zdolali dociągnąć do pozycji i odesłać do polowego punktu medycznego skąd, jak się później dowiedzieli, trafił do lazaretu na zapleczu.

– Żyje. Stracił oko i na razie nie może chodzić. Jak gadałem z lekarzem, to mówił, że może nie będzie mógł już nigdy latać. Ale żyje, pieprzony farciarz. Pytał się o wszystkich.

– No to nie może być, żeby tak sobie żył bez nas, jeszcze nam go stąd odeślą i tyle się zobaczymy. Jutro idziemy go odwiedzić! – Uderzył pięścią w skrzynkę dla wzmocnienia swych słów, rozsypując przy okazji kilka kart na trawę. – A teraz rozdawaj, Feder, bo ja coś czuję, że ładnie was wszystkich urządzę.

Istotnie, ograł ich bez cienia litości.

*

Do odległego o kilka kilometrów szpitala wyruszyli rankiem. Zabrali się wracającymi z frontu wozami transportu amunicji. Ciągące wozy kuce, postawni pociągowi siłacze, nie byli początkowo zachwyceni propozycją służenia za podwózkę po nocy spędzonej na dostarczaniu ciężkich skrzyń z amunicją, jednak przyjacielski podarek w postaci kilku butelek ze znalezionej przez jednorożca zapasu pozwoliło przełamać lody i dojść do porozumienia. Jechali więc wygodnie na wymoszczonych sianem wozach, obserwując powoli przesuwające się wokół nich pola i zielone łąki. Rosnące szpalerem wzdłuż drogi topole dawały przyjemny cień.

Schwarz Hammer i Brown Leaf wspominali. Tak właśnie dwa lata wcześniej zaczęła się dla nich ta wojna – pięknym Equestriańskim latem i służbą w taborach ciągnących w tumanach kurzu przez pola i drogi w ślad za posuwającymi się nieubłagane w głąb kraju kolumnami piechoty, widząc klucze lotników przemierzających na swych skrzydłach czysty błękit bezchmurnego nieba. Nadal pełen był wtedy ideałów i marzeń o wojennej chwale, gardząc rolą, jaka mu przypadła. Wiedział jednak, że jako prosty kuc ziemski niewielkie ma szanse na zaszczytną pozycję w szeregach *Griffisches Heer*.

Od stuleci, jeśli nie tysiącleci społeczność kuców zamieszkiwała Gryffonię. Nikt nie wiedział, skąd i w jaki sposób przybyli do oddzielonej od Equestrii morzem krainy. Już w najstarszych manuskryptach z okresu Mrocznych Wieków, jak opowiadał niegdyś Federkiel, z czasów, gdy kontakty między podzieloną na liczne państewka i plemiona Gryffonią a zamorską Equestrią ograniczały się do sporadycznych kontaktów handlowych i, co znacznie częstsze, łupieżczych wypraw na equestriańskie brzegi, pojawiały się liczne przesłanki co do żyjących pośród gryfów zasymilowanych społeczności kopytnych. Choć pozanielicznymi przypadkami nie dane im było znaleźć się wśród gryfońskiej arystokracji, to niewątpliwie zaznaczyli swój ślad w historii cesarstwa. Zarówno w czasie pokoju jak i wojennej pożogi. Jaką rolę, zdawałoby się, mogłyby odegrać niepozorne kucyki w

wojskach rasy urodzonych wojowników, którym sama natura nie poskąpiła potężnych skrzydeł i ostrych szponów. Ale nawet dla nich znalazło się miejsce.

W przypadku jednoroźców, ze względu na wrodzone zdolności magiczne kwestia była oczywista. Nawet najbardziej podstawowa magia, w postaci chociażby prostej lewitacji, była wśród niemagicznej gryfiej rasy sporym atutem. Nigdy jednak gryfiońskie wojska nie doczekały się magów bojowych z prawdziwego zdarzenia, takich, jacy niejednokrotnie odmieniali losy bitwy i wojen, jakie w zamierzonych, na poły legendarnych czasach toczyła Equestria. Mogło mieć to związek z faktem, że wśród niemagicznych gryfów nieliczne jednorożce wzbudzały na równi z fascynacją subtelna nutę lęku przed nieznana mocą.

Pegazy tradycyjnie uważane były za najbliższe gryfom – zarówno ze względu na najbardziej wojowniczą naturę spośród trzech ras, jak i skrzydła pozwalające im wraz nimi przemierzać przestworza. Dzięki temu doskonale wpasowywały się w rolę powietrznych wojowników, brak siły naturalnej broni i mniejsze rozmiary rekompensując znacznie większą zwrotnością i szybkością na krótkich dystansach, choć brakowało im wytrwałości do odbywania tak odległych lotów, na jakie stać było gryfy.

I w końcu kuce ziemskie, najpośledniejsza ze wszystkich trzech ras, pozornie nie wyróżniająca się absolutnie niczym. Co w końcu mogłoby równać się ze zdolnością latania, nie wspominając o magii, tak wszechpotężnej i niepojętej dla tych, którzy nie doświadczyli daru władania nią. Pozostała im więc jedynie służebna rola pomocników, pachołków, służb na zapleczu, przede wszystkim jednak pociągaczy, ciągnących tabory podążające za maszerującymi wojskami. Rola bez wątpienia absolutnie kluczowa, nie dająca jednak, oprócz kilku chlubnych wyjątków, większych szans wybicia się na piramidzie hierarchii i zasłynięcia bohaterskimi wyczynami.

I wtedy, upalnego sierpniowego dnia, wybuchła kolejna wojna, druzgocząca dwieście lat pokoju i owocnej współpracy, jakie minęły od ostatniego konfliktu. Tak jak przed tysiącem lat smukłe drakkary, tak teraz okręty o żelaznych kadłubach przybiły do brzegów Equestrii na północnym wschodzie, a armia pierzastych barbarzyńców po raz kolejny rozpoczęła marsz przez równiny Manehattanii. I tak samo, jak w poprzednich wojnach maszerowały wraz z nimi kopyta tych, którym nie dane było urodzić się pod słońcem nieznanej im Ceslestii, lecz pod cesarskim orłem, czerniejącym na powiewających sztandarach.

Nikt spośród tych, którzy wśród tumanów kurzu maszerowali wtedy w letnim upale, nieważne, czy nosił mundur barwy błękitu nieba, czy szarej zieleni, nie mógł przewidzieć, że przyjdzie im spędzić na froncie kolejne dwa lata wojny, jakiej nie widział dotychczas świat.

*

Lazaret urządzony był w malowniczo położonym na zameczku, czy też raczej dworze. Choć budowla z pewnością straciła jakiekolwiek obronne znaczenie bardzo dawno temu, to nadal otoczona była kamiennym murem, po którego powierzchni spływały zielone kaskady bluszczu.

Główna sala po brzegi zastawiona była długimi rzędami łóżek, pomiędzy którymi krzątał się personel. Lżej ranni, którym brakowało łóżek, leżeli na prowizorycznych posłaniach, czekając, aż zwolni się któreś z miejsc. Wchodząc do pomieszczenia, Schwarz i pozostali rozmienili się z dwójką noszowych wynoszącą na zewnątrz ciało przykryte białym prześcieradłem. Salę wypełniał ostry zapach środków dezynfekujących i leków, maskujący częściowo odór ropiejących ran i stłoczonych ciał.

Odnaleźli Fuchsa bez większych problemów. Zdawało się, że śpi, ale gdy się zbliżyli

dostzegł ich i powitał szerokim uśmiechem na połowie twarzy, która nie była ukryta pod grubą warstwą opatrunków. Chyba nie było na świecie i w całej przeklętej wojnie rzeczy zdolnej odebrać mu dobry humor.

– No patrzcie państwo, kto to raczył się wkońcu pojawić... aach, niech to szlag. – Próbując podnieść się na łóżku skrzywił się z bólu i opadł z powrotem na poduszkę. Lewe skrzydło miał sztywno oplecione bandażami i przywiązane do tułowia.

Szybko otoczyli łóżko zwartym kołem, wykorzystując moment na wsunięcie pod poduszkę paczki tytoniu i butelki cyrdu z dala od wzroku mało wyrozumiałych lekarzy. Natychmiast posypał się z obu stron chaotyczny grad pytań. Przechodząca obok sanitariuszka, ciemnofioletowa klacz w białym czepku, skwitowała małą wrzawę krótkim spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Ciekawe, czy była jedną z ochotniczek z gryffonii, które, niezależnie od rasy i pochodzenia, przybyły do Equestrii, by swoją służbą wspomóc wojenny wysiłek, czy może pochodziła z tych okolic? Jeśli to drugie, to czy dobroć serca nakazała jej pomoc rannym i chorym, mimo że byli barbarzyńskimi pierzastymi najeźdźcami, czy może zmusiły ją do tego okoliczności i potrzeba zapewnienia bytu najbliższymi poprzez otrzymywaną od wojska skromną materialną zapomogę w zamian za pomoc? Tak, czy inaczej Schwarz musiał przyznać jedno – była całkiem ładna, pomimo podkrążonych z niewyspania oczu i lekko zmierzwionej sierści, będących świadectwem tego, jak dużo pracy miał na co dzień personel lazaretu. Swoją typowo wiejską urodą przypominała mu klacze z jego rodzinnych okolic.

– ... do szpitala w Manehattanie albo gdzieś w okolicy, no a potem to już na statek i prościuteńko do domu. – Schwarz zorientował się, że w zamyśleniu, wgapiiony w oddalającą się pielęgniarkę, przestał przysłuchiwać się rozmowie kolegów. Leer i Gunther skwitowali to wymownymi spojrzeniami, ale nie przerywali Fuchsowi snucia planów na powojenną przyszłość.

– Pierwsze co, to znajdę sobie jakąś ptaszynę. Wiecie, panny lubią takich dzielnych weteranów z męskimi bliznami. – Wypiął dumnie pierś, jakby wisiało na niej co najmniej pół tuzina medali.

– Nawet takich bez połowy rudej facjaty? – dociął Gunther.

– Połatają mnie, o to ty się nie bój. – Fuchs poklepał go po ramieniu. – W szpitalach w Manehattanie takie cuda robią. A wojak bez blizny to...

– Dobra, dobra, wojaku, a jak chcesz sobie i tej swojej pannie coś do gara włożyć?

– Dla dzielnego weterana, co zwiedził kawał świata, zawsze znajdzie się posada. Zostanę radnym.

Wszyscy parsknęli jak na komendę. Rudopióry gryf, który najwyraźniej tym razem mówił całkowicie poważnie, zrobił obrażoną minę.

– Taaaa... Kajzerem od razu! – Brown Leaf przysiadł na brzegu łóżka, trzęsąc się ze śmiechu.

– Ale na namiestnika w takiej Equestrii to bym się nadał i nie mów, że nie!

– Jasne, poprawimy ci róg i kopytka, zrobimy cię księżniczką. – Po tej uwadze Schwarza wszyscy parsknęli śmiechem. Jednakowoż dowcip wyraźnie nie spodobał się lekarzowi, który w trosce o spokój pozostałych pacjentów postanowił jasno i dobinie zasugerować koniec radosnej wizyty. Pożegnali się z Fuchsem, życząc jak najszybszego powrotu do domu.

Byli już przy drzwiach do holu, gdy idący na końcu grupy Schwarz zatrzymał się, dostrzegłszy na jednym z łóżek jakby znajomą postać. Przez chwilę zastanawiał się, skąd go pamięta, gdy nagle sobie przypomniał. Chudy gryfi młodzieniec o popielatych piórach i błękitnych oczach leżał, wpatrując się obojętnym wzrokiem w sufit. Fried – brzmiało nazwisko na powieszzonej na łóżku tabliczce. Podeszedł bliżej, jednak ranny zdawał się tego

nie zauważyć, apatyczny, jedynie ruchem piersi unoszącej się i opadającej w rytm płytkiego oddechu zdradzając oznaki życia. Pióra miał potargane, przesiąknięte potem.

– To ten, coś go ściągnął z pola? – spytał Kramer. Kuc kiwnął głową.

– Dzieciak – mruknął Otto.

Schwarz patrzył jeszcze przez moment na rannego, zastanawiając się, czy nie odezwać się do niego, powiedzieć coś, przerwać tę zasłonę apatii. Po co? By poczuć się bohaterem, domagać się wyrazów wdzięczności?

Opuścili lazaret, pozostawiając żołnierza Frieda sam na sam ze swymi myślami.

... przebywamy więc teraz w kwaterach za frontem. Jest nam tu dobrze, mamy dach nad głową i jedzenie. Nie wiemy, co przyniosą następne dni. Jedni mówią, że wysyłają nas gdzieś na inne miejsce frontu, inni, że cały nasz czterdziesty siódmy regiment wycofają na długi odpoczynek. Bardzo bym się ucieszył, gdybym dostał urlop i mógł Was odwiedzić w domu. Niestety dowództwo bardzo rzadko przydziela przepustki. Może naprawdę szykują się do jakiejś dużej operacji.

Ja i moi kompani jesteśmy więc zdrowi i mamy się dobrze. Jestem bardzo wdzięczny za wszystkie wasze prezenty. Gdybyście mogli, przyslijcie nieco tytoniu od wuja Pfeffera. Ja nie używam tytoniu, ale na pewno moi towarzysze bardzo ucieszą się takim prezentem. Bądźcie zdrowi.

Schwarz Hammer

Wypluł ołówek i raz jeszcze przejrzał całość listu. Dość krytycznie spojrział na fragment, mówiący o „dużej operacji”. Nie chciał zamartwiać rodziny wiszącymi nad jego głową chmurami. Wiedział doskonale, że w ojczyźnie wiedzie się coraz ciężiej. Rek wizycje płodów rolnych i trzody na potrzeby tkwiącej trzeci rok w okopach za morzem armii i coraz bardziej powszechna reglamentacja dawały się wszystkim we znaki. Mieli dość własnych cywilnych problemów.

– Do rodziców? – Otto, jakby znikąd, wychynął tuż obok.

– Zgadza się. – Ogier złożył kartkę i wsunął do kieszeni.

– Dobrze, że do nich piszesz. Zawsze to jakoś tak o krok bliżej domu. – Buchnął z fajki kłębem dymu, który spowił go siwą mgiełką. – Tylko trzeba uważać, co się pisze i żeby nie naskrobać czasami za dużo. Ostatnio coraz więcej listów cenzuruje, albo w ogóle nie przepuszczają za front. Ochrona tajemnicy wojskowej i nastrojów społeczeństwa, synu! Na swój ogon przysięgam, że nic by tak wszystkich nie uszczęśliwiło, jak koniec tej całej błazenady.

Ponad barakami zabrzmiał dźwięk dzwonka, oznaczający oczekiwane przybycie kuchni polowej. Schwarz wcisnął na głowę czapkę, zeskoczył z ustawionego pod drzewem stosu skrzyń i wraz z Ottem udał się na plac pomiędzy barakami, wiedzeni nieimplynym instynktem żołnierskiego brzucha.

Wyżywienie w mieszanej armii kucyków i gryfów okazywało się wcale często logistycznym wyzwaniem, jak równo i w należyty sposób wykarmić dwie rasy o zupełnie niemal odmiennych gustach kulinarnych. Choć gryfy były po części wszystkożerne i zdolne, by wyżyć przez jakiś czas na bezmięsnych produktach, to sycący, pełnoprawny gryfi posiek nie mógł obejść się bez zadowalającej porcji mięsa. Trzeba było więc pogodzić ten fakt z dietą roślinożernych kuców, co nie było dużym problemem na ustabilizowanych tyłach, ale komplikowało dostarczanie ciepłych posiłków na front.

Dlatego więc w każdej mieszanej kompanii znajdowała się na wyposażeniu dodatkowa, mała kuchnia obsługiwana przez kuca-kucharza, aby również brzuchy kopytnych wojsków były należycie zapełnione. Do garkuchni ustawiły się więc dwie kolejki z miskami i menażkami – jedna po fasolę z wołowiną i kiełbasę, druga, zdecydowanie mniejsza, po bulgoczącą apetycznie zupę jarzynową. Wszyscy otrzymali porcję chleba i przydziałowego tytoniu, który Schwarz zamienił z Leerem na pozostałą mu od wczoraj tabliczkę czekolady. I wszyscy byli zadowoleni.

*

– Luzują nas pojutrze.

Słowa te krążyły od rana w całym pułku. Wszyscy wyczekiwali dłuższego odpoczynku, z dala od frontu, który nawet w barakach na tyłach nigdy nie pozwalał zapomnieć o swoim sąsiedztwie.

– Myślę, że zawiozą nas na wschód, do walki z osłami – stwierdził Brown Leaf, gdy wieczorem zebrani byli w swoim baraku. Nie powiedział tego do nikogo konkretnego, swoim zwyczajem rzucił uwagę gdzieś w przestrzeń.

– Pieprzysz. – Schwarz odwrócił się do niego na sienniku, jakie mieli w prowizorycznej kwaterze zamiast porządnych łóżek. Chwilowych, kilkudniowych kwater nikomu nie chciało się specjalnie urządzać, a i tak lepszy był zawieszony siennik na tyłach, niż zawieszony siennik w ziemiance na pierwszej linii. – Tamtym coraz mniej chce się walczyć, coraz więcej ich dezertuje na naszą stronę. To ze wschodu będą ściągać naszych, żeby przełamać w końcu obronę Equestrian.

– Powodzenia im życzę – mruknął Lutfried spod koca.

– Jakby nad tym pomyśleć... – Gunther przerwał pucowanie trzewików. – To w końcu oni wszystko to zaczęli, tak, czy nie? No bo kto nam zabił arcyksięcia? No osły. Więc po co gnijemy tutaj po drugiej stronie morza?

– Nie myśl ty lepiej tyle, bo widać, ile z tego rozumiesz – skwitował jednorożec.

– Tu właśnie myśleć trzeba, bo to front jest, a nie uniwersytet – odgryzł się gryf.

– Cieszcie się, że Herr Oberst^{1*} nie słyszy tego waszego myślenia – rzekł Leer, skręcając papierosa. – Niebezpiecznie jest, kiedy prosty żołnierz za dużo tak sobie myśli.

Istotnie, rozmowa coraz mocniej dryfowała ku tematowi i wnioskowi za które, gdyby przysłuchał im się któryś z panów oficerów, zaprowadziła by ich za kratki, zaś niewinni idealisci, którzy wojnę znali jedynie z pierwszych stron gazet, spurpurowieliby z oburzenia. W obecnych okolicznościach mogli jednak pozwolić sobie bez obaw na skorzystanie z niezbywalnego żołnierskiego prawa do skomentowania swojego losu.

– Tak naprawdę to nie o żadnego arcyksięcia tu chodzi. – Federkiel, korzystając ze swej inteligenckiej pozycji, tłumaczył meandry międzynarodowej polityki. – Odkąd dostał się do tronu miłościwie nam panujący Wilhelm, mamy przecież na pieńku i z osłami, i z Equestrią, w imię naprawiania dziejowych i granicznych niesprawiedliwości i obudowania starej chwały narodu. A tak naprawdę to każdy wie, że miłościwie nam panujący leczy tylko swoje kompleksy...

– Pieprzysz...

– A co, nie mam racji? Mało to gryfów powróciło zza granicy, jak tylko Kajzer zaczął dudnić o swojej misji przywrócenia dawnej glorii? Spójrzcie na Dietricha...

Istotnie, Dietrich był z pochodzenia Equestriańczykiem – jego rodzina od kilku pokoleń zamieszkiwała wśród gryfiej mniejszości w Los Pegasus, a miał też krewnych zamieszkujących w samej stolicy. Rok przed wojną jego ojciec, wierny ojczyźnie przodków,

^{1*} Pułkownik

postanowił odpowiedzieć na wezwanie cesarza i wraz z rodziną przeniósł się do Gryffonii.

– Ale ty pierdzielisz od rzeczy, Feder. – Sam wspomniany Dieter włączył się do dyskusji, krzywiąc się, jak często czynił, gdy ktoś wspominał kwestię jego pochodzenia. – Weź przejdź do rzeczy i nam oszczędź tego wszystkiego.

– Mówię, że świat od dawna siedział na beczce prochu. A zabicie arcyksięcia to tylko iskra na te prochy, rozumiecie, pretekst. Wojna by wybuchła, tak, czy inaczej.

– Ale jak w ogóle wybucha taka wojna? – dociekał Brown Leaf. – Kiedy jeden kraj obraża się na drugi, nie? Ale mnie na ten przykład żaden equestriański kuc nigdy nic nie zrobił, nawet żadnego na oczy nie widziałem. No to jak to jest?

– Ty taki głupi jesteś sam dla siebie, czy kwatermistrze dają ci za to dodatkowego owsa? – Gunther spojrzał na kuca z najgłębszym politowaniem. – To wszystko sprawa tych, co rządzą, my tu tylko strzelamy i ginimy w tym gnoju...

– To niech politycy walczą – wysnuł pomysł Lutfried. – Niech Kajzer, generałowie i księżniczki wyjdą na arenę i okładają się kijami. To chyba lepsze, niż żebyśmy my mieli się w tym babrać, co? No i ile by się zarobiło na biletach!

Pomysł odebrany został z powszechną aprobatą. Jedyne Dietrich burknął pod nosem coś niezrozumiałego i poszedł spać, odwracając się plecami do reszty rozbawionego ideą towarzystwa.

*

Dzień przed odjazdem Schwarz, Leer i Brown Leaf postanowili raz jeszcze odwiedzić Fuchsa w lazarecie. Przybywszy na miejsce, trafili na moment wywożenia rannych, którzy mieli być przetransportowani na stację kolejową, a stamtąd – do odległych szpitali.

– Na litość, skądże mam wiedzieć o jakimś szeregowym Fuchsie! – oburzył się lekarz, zaczepiony wśród krzątający w przedsionku. – Wywieźli wczoraj z pół setki, dzisiaj tyle samo, ale zaraz znowu przyniosą tutaj drugie tyle. Pięciu zmarło dziś rano, a wy chcecie, żebym pamiętał każdego jednego z osobna! Idźcie i nie zawracajcie głowy!

– Cholerny konował – mruknął Leer, gdy biały kitel zniknął za rogiem.

Przeciskając się przez salę, odnaleźli łóżko, na którym podczas poprzedniej wizyty leżał rudopióry gryf – było puste. Nie było sensu w rozpytywaniu wszystkich naokoło, wrócili więc do baraków by przekazać wieść o wywiezieniu Fuchsa zanim zdążyli się z nim pożegnać. Był w końcu tylko lekko ranny, w porównaniu do wielu niezliczonych biedaków. Ale gdzieś w głębi wciąż tkwiło drobnusieńskie ziarno prawdopodobieństwa.

*

– Druga kompania, marsz!

Kolumna ruszyła długim sznurem, wzbijając tumany kurzu z wydeptanej i zjeżdżonej kołami wozów drogi. Niebo było bezchmurne, a lekki poranny wietrzyk orzeźwiał wymęczone twarze. Gdy przybyli objąć odcinek pół roku wcześniej, batalion liczyła okrągłe, etatowe tysiąc pięćdziesiąt karabinów. Z tej liczby pozostało, przy dochodzących w międzyczasie skronych uzupełnieniach, nieco ponad dwie trzecie, co było stosunkowo niskimi stratami. Nie raz zdarzało się, że kilka tygodni ciężkich walk dziesiątkowało całe regimenty.

Pociąg stał już przy peronie, buchając z lokomotywy kłębami pary. Na peronach i wokół ceglanego budynku stacji tłoczyły się postacie w szarych mundurach, zbierano oddziały, formowano kolumny, które miały pomaszerować do okopów.

Czekając na peronie przyglądali się, jak z wagonów wysypują się żołnierze, mający ich złuzować. Widać było, że przybywają prosto z koszar w kraju – wypucowane,

jakby prosto spod igły mundury, lśniącej w słońcu karabiny i nowe stalowe hełmy. Wojsko jak malowanie. Oni, okopowi weterani, wyglądali przy nich jak banda obdartusów – niedomocy, w znoszonych, mundurach, których nie było kiedy porządnie doczyścić.

„Starzy weterani!” – przeszło Schwarzowi przez głowę. – „Oni prawie wszyscy są może rok, dwa młodszy od większości z nas. Oprócz Kramera i Ottona jesteśmy w prawie tym samym wieku.”

– Świeżaki, rezerwowe dziadki i gówniażeria. Pewnie ledwo ich tam nauczyle, którą stroną karabinu się strzela. – Brandt spoglądał krytycznie na maszerujące obok szeregi. Był zawodowym żołnierzem jeszcze przed wojną.

– Ale doskonale potrafią zamykać izbę – skwitował Federkiel. – I salutować Herr Majorowi jak się należy.

– I równo składać mundur na stołku. – Leer karykaturalnie wyprężył się na baczność, upewniwszy się, że żaden z oficerów nie spogląda w jego stronę. Zdarzyło mu się już dostać kilka dni paki za obrazę majestatu armii. – Pamiętajcie, jak wielką hańbą dla żołnierza w służbie Kajzera i ojczyzny jest nierówno złożony mundur.

Pociąg sunął wśród pól, koła wystukiwały równy, usypiający rytm. Dookoła rozciągał się pejzaż zielonych pól, łąk, poprzedzielanych kępami lasów i zagajników, wiosek i miasteczek, świecących pośród nich złocistymi strzechami.

Każdy starał się po swojemu spożytkować kilka godzin podróży, jakie przed sobą mieli. Większość leżała na wymoszczonych siennikami pryczach i drzemała, kilku grało w karty. Schwarz siedział przy uchylonych drzwiach wagonu, oparty o tornister, pozwalając, by owiewał go wpadający do wnętrza podmuch powietrza, wsłuchując się w równy stukot kół. Patrzył na przesuające się krajobrazy i pozwalał, by jego myśli krążyły gdzieś w oddali.

*

Stali na szczycie łagodnego wzniesienia. Wokół widoczne były smugi dymu pożarów, niosło się odległe echo wystrzałów. Pozycja Gryfońskiej kompanii piechoty, zmierzającej w kierunku przeprawy na rzece, znajdowała się na skraju rzadkiego zagajnika po przeciwległej stronie szerokiego pola.

Drugi Canterlocki Szwadron Lansjerów – elita, szlachetne jednorożce, nowożytni rycerze, gotowi wzorem swych przodków bronić pokoju i harmonii ojczystej krainy. Lśniącej w słońcu hełmy, ozdobione grzebieniami i powiewającymi kitami z czerwonego włosia. Błękitne mundury o czerwonych obszyciach, przytroczone u boków szable.

Jeszcze tak niedawno maszerowali triumfalnie głównymi ulicami stolicy. Na czele reprezentacyjna gwardia obu księżniczek – śnieżnobiałe pegazy w złocistych zbrojach i tajemnicza, mroczna Gwardia Nocy. Za nimi oni – kawaleria: lansjerzy a wraz z nimi kirasjerzy, w swych błyszczących pancerzach. Dalej maszerowała piechota w błękitnych płaszczach i czerwonych czapkach, lśniąc groźnie stałą karabinów i bagnatów. Szli na wojnę zegnani przez tłumy, pozdrawiające z radością i nadzieją tych, którzy mieli uchronić ich przed zamorskim najeźdźcą. Sypano kwiaty, wręczano żołnierzom podarki.

A teraz stali w szyku, wyczekując swojej pierwszej bitwy.

Pierwszy sygnał trąbki – za pomocą magii unieśli lance i osadzili w tulejach przy bojowych siodłach. Wzniósł się sztandar szwadronu, powiewając w lekkim wietrzyku.

Pachniało trawą i świeżo skoszonym sianem, białe obłoki leniwie toczyły się po błękitach nieba.

Drugi sygnał. Szereg ruszył powoli w dół zbocza. Biegli w szyku, rozpędzając się. Na kolejny sygnał opuścili lance, tworząc najeżoną grotami ścianę.

Czuł, jak z każdą sekundą cwał jego żyły wypełnia bitewne podniecenie.

Grzmot działa słychać było nawet przez tętent kopyt. Pociski nadlatywały z przeraźliwym świstem, eksplodowały z wstrząsającym, wyczuwalnym aż w głębi ciała hukiem, wyrывая w powietrze ziemię.

Jeden z nich trafił prosto w pierwszy szereg.

Patrzył, niczym w zwolnionym tempie, jak ciało dowódcy, poszarpane nie do poznania, wzlatuje w powietrze w fontannie ziemi i trawy, po czym upada z tyłu, tratowane przez następne szeregi.

Zdawało mu się dotąd, że artyleria jedynie groźnie grzmi w oddali na postrach, karabiny strzelają, jednak, choć gdzieś w głębi świadom był niesionej przez nią śmierci, to zdawało mu się, jakby wojna była jedynie głośnym, wzniosłym widowiskiem, jak historyczna inscenizacja, po której polegli rycerze wstają i kłaniają się publiczności. Bo jak to tak – naprawdę zginąć?

Teraz wokół szalało inferno ognia i stali, rozrywające grunt, miażdżące ciała, łamiące lance niczym zapalki.

Szyk rozpadł się, ale nadal parli naprzód, dopóki sztandar łopotał w górze. Deszcz ziemi i odłamków spadał dookoła.

W górze zamajaczyły sylwetki gryfich lotników, zrzucających trzymane w szponach niewielkie bomby i granaty. Po chwili nadleciały pegazy i w przestworzach rozgorzała brutalna walka.

Odezwały się karabiny maszynowe, terkocząc niczym potrząsane w puszcze kamienie. Serie gromiły nacierających, chorąży, biegnący tuż obok niego, padł niczym ścięty kosą.

Był już tak blisko, widział już wyraźnie gryfie sylwetki w pikielhaubach. Salwa z karabinów odezwała się trzaskiem pośród kakofonii.

Uderzenie w pierś, nogi ugięły się pod nim, padł na ziemię i przetoczył się siłą rozpędu, drzewce pękły i poszły w drzazgi.

Leżał nieruchomo, starając się z coraz większym wysiłkiem zaczerpnąć oddechu. Nie czuł bólu, jedynie lekkie ciepło, rozlewające się w piersi, przesączające przez materię munduru. Nie było już zapachu siana i letniej trawy, a jedynie swąd dymu i krwi.

Czy tak kończyła się stara epoka? Czy tak wyglądała wielka wojna?

*

Niewiele już zostało z atmosfery tych pierwszych dni, kiedy we wszystkich miastach biły dzwony, a my paradowaliśmy przez ulice, obrzucani przez tłumy kwiatami. Potem wsiedliśmy do wagonów udekorowanych zielenią, na których wypisywaliśmy kredą najróżniejsze hasła i ruszyliśmy – jedni na wschód, a my na zachód, do portów.

Po tym, jak po lądowaniu triumfalnie zajęliśmy Manehattan, nie ma już nic oprócz marszu na zachód, ku Canterlotowi. Całymi dniami tylko forsowny marsz, w kurzu dróg i w grzejącym słońcu. Dla wielu to zbyt ciężkie – gdy tylko zarządza się przerwę na odpoczynek padają na ziemię, łapczywie piją wodę, której i tak często nie mamy za dużo. Ale potem trzeba wstać i dalej maszerować. Żywimy się głównie naszymi własnymi zapasami i tym, co zdobędziemy w zajmowanych wioskach, bo kuce, ciągnące tabory i polowe kuchnie, ledwo nadążają za naszym tempem.

Dziś zdobywaliśmy niewielkie miasteczko. Nacieramy przez pola, Equestrianie kryją się za dzielącymi je murkami i w rowach. „Skokami naprzód!” Pod ogniem posuwamy się do przodu. Wykurzamy ich granatami, gdzieś walczą wręcz. Wycofują się w stronę miasteczka, nacieramy ich śladem, ale wciąż karabiny biją do nas. Okazuje się, że kilku strzelców skryło się w stojących na polu stogach. Podbiegamy więc do nich i dźgamy je bagnętami – ci z nas, którzy są rolnikami, mają przy tym niezły ubaw.

Podchodzimy do zabudowań, w miejscowość wali nasza artyleria. Kaem pruje do nas z wieży ratusza, ale ucisza go celny strzał z haubicy. Equestrianie znowu się wycofują. Wkraczamy między domy, wszędzie wokół pożary, duszący, gęsty dym. Teraz nocujemy w niewielkim lasku, a jutro znowu marsz.

Gdzie się nie spojrzy, wszędzie na horyzoncie słupy dymu. Zabici leżą na polach i w przydrożnych rowach, kucyki mieszają się z gryfami, niebieskie mundury z szarymi. Nie ma kiedy ich wszystkich pochować.

*

Nadeszła jesień, przynosząc wojnie stagnację. Śmiały plan błyskawicznego rozgromienia Equestrii zawiodł. Po zatrzymaniu ofensywy na Canterlot w bitwie nad rzeką Mane siły gryffońskie, wyczerpane intensywnością dotychczasowych działań, zmuszone były wycofać się daleko od ocalonej stolicy. Wraz ze zbliżającą się zimą obie stojące naprzeciw siebie strony, niezdolne do dalszych działań, zaczęły okopywać się na swoich stanowiskach z zamiarem przeczekania i wznowienia działań na wiosnę. Nikt, od szeregowych żołnierzy po generałów nie mógł przewidzieć, że przyjdzie im spędzić na tych pozycjach nie tygodnie, czy miesiące, lecz kolejne lata.

W obliczu skali strat, jakiej nie zdołano przewidzieć w przedwojennych planach mobilizacyjnych, Wielka Kwatera Główna podjęła decyzję wysłaniu na front mniejszości złożonej z kuców, przed czym wahano się wcześniej, w obawie o ich lojalność wobec ojczyzny w walkach z equestriańskimi pobratymcami. W pierwszej kolejności wysłano na linię walki służących w taborach i oddziałach tyłowych, jako najbardziej oswojonych z realiami wojny i służby wojskowej, a zarazem najbardziej pewnych pod względem dyscypliny. Tak właśnie Schwarz Hammer, Brown Leaf i wielu im podobnych otrzymało karabiny i po odbyciu frontowego przeszkolenia zostało rozdzielonych pomiędzy gryfickimi kompaniami. Wraz z nadejściem wiosny wkroczyli w okopy Wielkiej Wojny.

*

Musiał przysnąć, bo gdy obudził się, potrząsany za ramię, pociąg stał już na bocznicy. Zarzucił na grzbiet tornister i wraz z pozostałymi wydostał się na plac, na którym żołnierze zbierali się kompaniami. Ustawiwszy się, pomaszerowali w kierunku obozu.

Kwatery pod Mareville zdążyły od początku wojny rozrosnąć się od kilku prowizorycznych baraków do pełnoprawnego wojskowego miasteczka, położonego nad jeziorem, na przeciwległym brzegu od miasta. Już na pierwszy rzut oka widać było różnicę w porównaniu z budowanymi na szybko prymitywnymi kwaterami tuż za frontem. Maszerowali pomiędzy ustawionymi w rzędy solidnymi barakami, zbudowanych zarówno z drewnianych bali, jak i fachwerkowych. Każdej kompanii przypadł jeden barak. Czyste izby z łózkami dla każdego żołnierza, szafkami na rzeczy, ławkami i stołami, elektrycznymi lampami pod sufitem wydawały im się po tygodniach tkwienia w okopowych norach komnatami cesarskiego pałacu.

Wszyscy zgadzali się, że gdyby na co dzień mieli takie kwatery, wojna mogłaby być

od biedy nawet znośna.

Stojąc pod strumieniem ciepłej wody pomyślał, jak bardzo cywile muszą nie zdawać sobie sprawy z tego, w jakim luksusie mają szczęście się pławić. Rzecz, zdawałoby się tak cywilizacyjnie podstawowa, jak ogrzewana, bieżąca woda, pod którą można beztrudno się umyć, zrelaksować wśród szumiących niczym ciepły, letni deszcz kropli... Nawet zbiorowa wojskowa łaźnia potrafiła nastroić do poetyckich porównań. Szorował sierść gliniastym mydłem, pozbywając się wielotygodniowego balastu frontowego brudu. Szaremu kucowi przeleciało przez głowę, że jeszcze moment i wyszoruje się do białości. Bez szorstkiej bluzy munduru, pasa, karabinu i ciężącego tornistra choć przez moment mógł poczuć się znów lekki i wolny.

Skończywszy ablucję, a czuł się, jakby wyszorował z siebie kilka kilo błota i kurzu, odebrał w okienku mundur, także wyczyszczony i odwszawiony. Wychodząc z łaźni, skorzystał jeszcze z oferty kompanijnego fryzjera-amatora Krausa, kuca, którego grzywa z daleka już wołała o ratunek. Ale w końcu szewc bez butów chodzi i za kilka pfennigów Schwarz doprowadził grzywę do jako-takiego, godnego wojska porządku.

Na zewnątrz natknął się na Leera i Heiniego Kellera. Ten drugi był dobrym znajomym Schwarza z tej samej kompanii, lecz z innego plutonu. Poznali się już wcześniej, kiedy ich regiment przybył na ten odcinek frontu. Okulary i wiszące u dzioba wąsy postarzały nieco gryfa i w połączeniu z niezbyt imponującą posturą nadawały wygląd stereotypowego belfra z prowincjonalnej szkoły, chyba, że tylko Schwarz w taki sposób zapamiętał swoich nauczycieli z dawnych lat.

– No to widzę, że stary kowal też wrócił do żywych. – Keller poklepał Schwarza po ramieniu.

– A ty co, oberwałeś na froncie? – spytał kuc, widząc na czole gryfa opatrunek.

– Nieee... Znaczący, tak jakby. Walnąłem łbem w belkę, jak wybiegałem ze schronu.

Schwarz patrzył przez chwilę w bezdennie szczere oczy kompana zastanawiając się, czy ten nie próbuje sobie z niego zażartować.

– Słyszałem kiedyś o jednym kapralu – zaczął Leer jedną ze swoich niezliczonych anegdotek, gdy podążali w stronę wabiących zapachami polowych kuchni. – Equestriańska artyleria waliła jak jasna cholera, grzmiało aż wszystko się trzęsło, a oni siedzieli w bunkrze i wszystko mieli pod ogonem. I wtedy, jak walnęło dokładnie nad nimi, zerwała się spod sufitu lampa i trzasnęła jakiegoś kaprala, co akurat zdjął hełm, żeby się podrapać, bo się spocił pod garnkiem. Podobno trup na miejscu.

– Kapral, znaczy, strata niewielka, a kto wie, może nawet i zysk – oświadczył Keller z filozoficzną miną. – Jeśli przysłany prosto z placu, to powinni w koszarach wywiesić nekrolog, żeby pocieszyć rekrutów.

– Żeby cię za to miłosierdzie nie posłali do Strafbattalionu^{2*}, obrońco uciśnionych.

– Wysłali mnie na front, to już wszystko mi jedno, co dalej. – Wzruszył ramionami. – Okopy wszędzie takie same.

– Co, stęskniony za kancelarią? Nie podoba się służyć ojczyźnie bagnetem i granatami?

Był kancelista z oddziału zaopatrzenia skrzywił się.

– Co ja poradzę, że wparadował sobie Herr Leutnant do kancelarii i było tylko „pakujcie się, Keller, jedziecie na front”. No dobra, tak grzecznie to mi tego nie powiedział, ale...

^{2*} Batalionu karnego

– I co? – dociął Schwarz, korzystając z dobrego humoru. – Tak fajnie tam było z takim uroczym Leutnantem?
– Może nie. Ale przynajmniej sucho.

*

Przez pierwsze kilka dni wypoczynku przysługiwało im prawo do niezmałconego żadnymi obowiązkami wytchnienia. Korzystali z wytęsknionych wygod, pożytkując czas na doprowadzenie do powrotnego porządku siebie i broni, korzystaniu z hojności obozowych kucharzy i kwatermistrzów, nie szczędzących na zawartości przepastnych kotłów i innych rarytasach.

– Teraz – rzekł Gunther, z kieszeniami wypchanymi paczkami papierosów wytargowanymi, przy pomocy Otta, od kwatermistrza – byle do końca wojny.

Czerpali z tej sielanki, starając nie pamiętać, że prędzej czy później nadejdzie jej koniec, a powrót do rzeczywistości może być wyjątkowo bolesny.

Następnego dnia przybycie poczty jeszcze bardziej utwierdziło ogólny dobry nastrój. Siedzieli na łózkach w baraku, przeglądając listy i paczki z domu. Schwarz dopiero co, tuż po przybyciu na tyły, nadał swój najświeższy list do rodziny i nie zdołał jeszcze otrzymać odpowiedzi. Przeglądał więc leniwym wzrokiem gazetę, nie zważając nawet zbytnio na treść, zabijając czas samą czynnością przerzucania kartek i bezmyślnego patrzenia.

– Hej, Lutfried, to ci się może spodobać.

Zawołany wychylił się ze swojego miejsca na górze piętrowej pryczy i wziął pocztówki, którą przylewitował mu Federkiel.

– No, nie widziałem jeszcze takiej. Mogę sobie wziąć?

– Jasne – odparł jednorożec, po czym wyciągnął z kieszeni ołówek i zaczął pisać na zawieszanej przed oczami kartce.

– Nie kapuję, po co zbierasz ten szajs – mruknął Leer. – Macie, chłopaki, częstujcie się. – Postawił na stole pudełko otrzymanych z domu ciastek i ponownie zwrócił się Lutfrieda. – Ja tam zawsze myślałem, że w latrynie gazeta się lepiej nadaje.

– Jakies hobby trzeba mieć – odparł kolekcjoner swą standardową odpowiedzią na przytyki Leera i innych. Jedni zbierają w okopach łuski, taki Taube z trzeciego plutonu rzeźbi se figurki z odłamków, a ja zbieram śmieci.

Lutfried systematycznie zbierał każdy wytwór propagandy, jaki wypatrzył jego zielone jak wiosenna trawa oczy. Pocztówki, ulotki z uporem godnym lepszej sprawy kolportowane wśród żołnierzy celem podniesienia bojowo-patriotycznego ducha. Gdyby mógł, pewnie naręczami wynosiłby plakaty, jakimi obklejone były koszary i kancelarie. Jako szczególnie rarytas swoich zbiorów traktował ulotki i broszury propagandy equestriańskiej, jakie tajnymi kanałami znajdowały się w gryfickich szeregach. Pikanterii dodawał fakt, że posiadanie przy sobie wrogiej propagandy było wyjątkowo niemile widziane przez oficerów i były na to stosowne paragrafy. Najciekawiej prezentowało się zaś kilka antygryfickich ulotek, które znalazł niegdyś w equestriańskim schronie, który udało im się zdobyć. Szczególnie ciekawa artystycznie była wizja ukazująca gryfopodobną poczwarę, pożerającą małego żrebaka wśród scenerii pożogi. Komisyjnie stwierdzili, że żreback najbardziej podobny jest do Brown Leafa. Wszystkie zdobycze, poza najciekawszymi okazami, odsyłał do domu na przechowanie.

– A co tam słysząc, Kramer, w rodzinnej braunberskiej dziurze? – zagaił brązowy kuc, chowając swoje listy do plecaka.

Barczysty gryf nie odpowiadał przez chwilę, medytując nad listem. Dostrzegli, że minę miał wyjątkowo nietęgą.

– List od Eriki. Victor jest chory. – Mówił o swoim synku, teraz już niemal trzyletnim.
– A okolicznego doktora powołali do wojska, trzeba jeździć aż do Braunberga. – Zamilkł ponownie, jakby nieco zmieszany tym, że swoją chłopską szczerością zepsuł nastrój kolegom.

– Wrócisz do nich – powiedział Schwarz. Sam szczerze martwił się, jak ojciec sam radzi sobie z warsztatem. – Piszą, że coraz częściej rolników i robotników dostaje przepustki. Mój kuzyn przed wojną robił w fabryce i miesiąc temu wysłali go z powrotem, bo nie ma komu pracować w kraju.

– Podobno w zbrojeniówce nieźle płacą – wtrącił Gunther.

– Na przyszłe żniwa już na pewno do nich wrócisz, a może wcześniej już skończy się wojna – stwierdził Dietrich. – Paru rolników z trzeciej kompanii wróciło w tym roku na żniwa.

Przez jakiś czas milczeli. Wreszcie Schwarz przerwał niezręczną ciszę, znalazłszy w gazecie artykuł, który przykuł jego wzrok.

– Piszą, że u osłów coraz więcej protestów i buntów.

– Kogo?

– Wszystkich. Robotnicy protestują, wojsko dezertuje. Podobno niedawno cały ich batalion przeszedł na naszą stronę. Jak tak dalej pójdzie, to na wschodzie skończy się wojna i wszystkich naszych przeniosą do Equestrii.

– Mogliby nas przenieść na wschód – Brown Leaf przeciągnął się i poczochnął po grzywie. – Może tam by było trochę spokoju.

– Ciekawe, czy jak ta wojna potrwa jeszcze dłużej, to u nas też zaczną się buntować. – Lutfried siedział przy stole, przed kartką papieru zastanawiając się nad zaczęętym listem.

– Jak byłem zimą na urlopie w domu – zaczął Dieter – to i e było tam tak źle. Dobra, reglamentują może coraz bardziej, ale biedy nie ma. W stolicy chodzą po kinach, po knajpach. Nie ma się komu buntować. Prawie, jakby żadnej wojny nigdy nie było.

*

Mareville było typowym prowincjonalnym miastem, wyróżniającym się chyba tylko strategicznym faktem przebiegającej w pobliżu linii kolejowej z Manehattanu, choć i tak nie stanowiło istotnego punktu logistycznego, w porównaniu na przykład z leżącym bliżej frontu Sun Mare, które zresztą, jako strategicznie kluczowy punkt, cierpiało od regularnego ostrzału i powietrznych bombardowań ze strony Equestrian. Tutaj, wśród skromnych podmiejskich domków i kolorowych kamienic, kwitnących ogródków, w cieniu lip rosnących szpalerem wzdłuż głównej ulicy przybywający z frontu czuli się jak wysłani na wczasy rekonwalescencji. Klacze w letnich kapeluszach przemierzały ulice, zajęte swoimi sprawunkami i gdyby nie gryfy i kilka pojedynczych kuców w szarych mundurach można by pomyśleć, że nie ma żadnej wojny, że wszędzie toczy się całkowicie normalne, niezmacone niczym życie. Cywilom nie zdarzało się okazywać otwartej wrogości, zaś żołnierze, pomni oficerskich zaleceń o unikanie fraternizacji z wrogiem, nie wnikali w ich sprawy, dzięki czemu obie strony egzystowały obok, oddzielone bezpieczną ścianą chłodnej rezerwy.

*

Wojskowy lokal był wypełniony po brzegi. Podczas gdy panowie oficerowie bawili się w bardziej ekskluzywnych przybytkach, prości żołnierze spędzali wolny wieczór swego

urlopu w prostych *Soldatenheimach*^{3*}, przy prostych, suto zakrapianych rozrywkach.

Schwarz siedział przy stoliku wraz z Kellerem. Ciepłe, jasne wnętrze, wypełnione gwarem rozmów, hojnie okraszonych soczystym wojskowym językiem, snująca się wokół mgielka tytoniowego dymu. Dźwięki muzyki ze stojącego w kącie gramofonu mieszały się z dobiegającą z zewnątrz melodią, przygrywaną na placu przez wojskową kapelę. Schwarzowi nie przeszkadzał absolutni fakt, iż był w sali jedynym kucem.

– Gdzie Brown Leaf? – spytał Keller i pociągnął łyk piwa.

– Pojęcia nie mam. Pewnie polazł na klacze. – Istotnie, w kwestii prostych, żołnierskich rozrywek angażujących pleć przeciwną, kopytni żołnierze equestriańskiego frontu byli w sytuacji nieporównywalnie lepszej, niż ich gryfi koledzy.

– Taa... – Heini zamyślił się, jak to miał w zwyczaju, kiedy do głowy przyszedł mu jakiś temat. Zawsze musiał go wcześniej przeanalizować, dokładnie wszystko przeliczyć, niczym skrzynie konserw w zaopatrzeniowej kancelarii.

Schwarz tymczasem zerknął na sąsiedni stół, gdzie dwójka grenadierów grała w kości o rozmaite fanty. Jeden postawił ozdobną papierośnicę, drugi zaś egzotyczny naszyjnik z zębów jakiegoś zwierzęcia. Miał go otrzymać od wziętego do niewoli zebrickiego żołnierza z equestriańskich oddziałów kolonialnych.

– Słuchaj, Schwarz, tak mnie zastanawia... Czy nie masz może wrażenia, że tutaj, w Equestrii, strzelasz jakby do swoich?

Kowal odstawił kufel i spojrzał w patrzące zza szkieł okularów oczy kompana. Przyszedł do knajpy napić się i odpocząć, nie toczyć filozoficzno-etyczne dysputy, choć po Kellerze można było się tego spodziewać. Było iść na poszukiwanie rozrywki wraz z Brown Leafem.

– Nie strzelam do żadnych swoich, Heini. Ja jestem Gryffończykiem, oni Equestriańczykami.

– Ale wszyscy jesteście kucami. – Ekskwatremistrz drażył temat.

– Myślisz, że jak pięćset lat temu cesarz... jak mu tam było... no, mniejsza... tłukł barbarzyńców w górach na północy miał jakieś dylematy, że oni to też gryfy?

– To inna sprawa, to były całkiem inne czasy. No i... nie, mniejsza z tym.

– Dobra, dobra, wiem, co chciałeś powiedzieć. Że kuce to przy gryfach jakieś ostatnie mięczaki. Może ci z Equestrii, z tymi swoimi księżniczkami, bo ja jakoś nie będę miał oporów, jak nadal będziesz mi tu opowiadać jakieś pierdoły, żeby ci...

– Dobra, Schwarz, nie nakręcaj się – przerwał mu Heini.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Gryfowi jednak udało się skłonić go do namysłu.

– Słuchaj... – zaczął, starając się jak najlepiej ubrać w słowa swoje myśli. – Urodziłem się w Gryffonii, jak cała moja rodzina. Może nie jestem gryfem, ale mówię po gryficku, Equestrii nigdy wcześniej nie widziałem na oczy, księżniczek, Canterlotu i co tam byś jeszcze wymyślił... Jestem tutaj, bo mi kazali, tak, jak tobie. Nie ja sobie wymyśliłem, żeby urodzić się w Gryffonii i najechać Equestrię. Nie ma o czym filozofować.

Ponownie przy ich stoliku zapadło milczenie. Schwarzowi przeleciało przez głowę, że może uciął temat zbyt gwałtownie. Że kompan może go posądzić o jakieś rozterki, którymi nie chce się podzielić. A on chciał jedynie wykorzystać chwilę wytchnienia, zamiast wciąż rozpamiętywać wojnę, której w końcu każdy chyba miał dość. Choć na chwilę zwyczajnie o wszystkim zapomnieć. Ktoś mógłby posądzić go o grubiaństwo i brak głębszych refleksji. Może i była to po części prawda, był w końcu jedynie skromnym ziemskim kucem z prowincjonalnego miasteczka. Zawsze uważał się za prostego kuca

^{3*} Domach żołnierza

czynu, nie aspirując do miana filozofa w mundurze. Ale, tak, czy inaczej, nie był to czas i miejsce na snucie refleksji. Na to będzie miał aż nadto czasu podczas długich dni i nocy bezczynnego oczekiwania w okopach.

Ponownie zerknął na grenadierów. Tym razem grali o equestriański oficerski kompas i kieszonkowy zegarek. Tymczasem na środku sali zabawa się rozkręcała. Dwójka landszturmistów wskoczyła właśnie na stół, tańcząc do przygrywanej na harmonii melodii, ku ucieście całego towarzystwa.

Nikt nie chciał rozmyślać i rozpamiętywać.

Stalowszarcy oczy Hauptmanna Rosenfelda miały gromy, drżał najeżony groźnie wąs. Kasztanowo-szare pióra miał nastroszone; widać było, że gotuje się wewnętrznym gniewem i za moment wybuchnie. Wnętrze wypełniało jedynie tykanie stojącego na półce zegara. Z wiszącego za stołem portretu Kaiser spoglądał surowo na Schwarza, Brown Leafa i Dietricha, naznaczonych śladami po niedawnej bitce.

– Zdrada! – wrzasnął kapitan, aż ,zdawałoby się, że kurz opadł z sufitu. – Rozpad dyscypliny, szerzenie wrogiej propagandy! W mojej kompanii!

Jeszcze kilka godzin wcześniej, po rozstaniu się z Heinim, wracali z knajpy. Usłyszeli dobiegające zza rogu krzyki i odgłosy szarpaniny, rozpoznali znajomy głos. Pod jednym z obleganych przez wojskowych lokali znaleźli podchmielonego Dietera, w środku bójki z grupą równie podchmielonych gryfów z kompanii karabinów maszynowych. Niewiele myśląc, rzucili się na pomoc koledze, co zakończyło się interwencją patrolu żandarmerii. Dopiero gdy opadł bitewny kurz wyszło na jaw, o co poszło w całym zajściu. Otóż po kilku kolejkach obudził się w Dieterze zapomniany patriotyzm wobec dawnej, equestriańskiej ojczyzny, karząc stanąć w obronie księżniczki Celestii, wyśmiewanej w wulgarnej przyśpiewce. I w ten sposób moment nostalgicznej słabości eks-Equestriańczyka zaprowadził ich przed oblicze Kompanieführera^{4*} Rosenfelda, powszechnie znienawidzonego i cieszącego się zasłużoną opinią kanalii i *Etappenschwein*^{5**} zarówno wśród podwładnych, jak i pogardzających nim mniej lub bardziej skrycie pozostałych oficerów.

Gdyby niemal wszystkie stereotypowe cechy oficerskiej kanalii przyoblekły się nagle w ciało, to drugiej kompanii przyszyłoby walczyć pod takim właśnie dowództwem.

– I tacy śmiać nosić cesarskie mundury! – pieklił się w nieprzerwanej tyradzie. – Od was, chociaż – zwrócił wzrok w stronę Dietricha – można by spodziewać się wierności ojczyźnie! Stać wszyscy na baczność, kiedy oficer mówi!

Schwarz, który ośmielił się lekko poruszyć, na powrót wyprężył się we wzorowej postawie, kopyto przy kopycie, choć stłuczony bark ciągnął tępy ból.

– Choć urodziliście się tu, za morzem, to dostąpiliście zaszczytu i obowiązku walki o chwałę ojczyzny swoich przodków! A zamiast tego siejecie defetyzm, stając w obronie wroga! Powinno się rozstrzeliwać za to, jak za szpiegostwo! – Stawiane przez Hauptmanna zarzuty stawały się coraz większe i coraz bardziej zakrawające o propagandowy absurd.

– A co do was... – Rosenfeld zwrócił się do dwójki kuców. Schwarz zacisnął zęby, wiedząc, czego może się za moment spodziewać. – Was nie powinno się dopuszczać na front! Największy błąd całej tej wojny to dopuszczenie na front was, kopytnej hołoty! Kto to

^{4*} Dowódca kompanii

^{5**} „Świnia etapowa”, dekonnik

widział, żeby kuce wysłać do wojny z Equestrią! Was się powinno na samym początku tej wojny deportować! Albo zakuć w kajdany do wozów i kopalni, nie dawać karabiny, żebyście je jak łamagi trzymali w tych waszych kopytach! Specjalne karabiny muszą wam produkować, jakby prawdziwi Gryfonie mieli za dużo broni!

Schwarz słyszał to wszystko wiele razy. Dużo by dał za widok Rosenfelda dławiącego się stojącym na stole mosiężnym świecznikiem, albo rozerwanego pociskiem gdzieś na jakimś zapomnianym fragmencie frontu.

– Was, bydlaki kopytne, przykuć do pługów, jak za cesarza Leopolda, nie wśród prawdziwych gryfów... – Przerwał na moment, aby wziąć oddech i ułożyć dalszą część wiązanki. – Tylko czekać, aż zaczniecie przez front dezertować, jak wam tylko te canterlockie rogaty kobyły poświęcą zadami!

Dieter zatrzęsł się lekko, ale nadal stał na baczność, wbijając wzrok w portret Kajsera.

– Myślę, że wystarczy, Herr Hauptmann.

Rosenfeld jakby zapomniiał, że poza nim, stojącym przy drzwiach wartownikiem i trójką szeregowych jest w pomieszczeniu ktoś jeszcze.

Zugführer^{6*} porucznik Nordwind wyszedł z ciemnego kąta, uznawszy, że i on ma coś do powiedzenia w sprawie swych podkomendnych.

Patrząc na niego nie sposób było się oprzeć wrażeniu, że ma w sobie coś z gryfa. Wysoki, o smukłej sylwetce i rozłożystych, jak na pegaza, skrzydłach, sierści o brązowopłowym, stonowanym kolorze. Długi ogon spięty miał przy końcu tak, że tworzył niewielką kitę. Złociste jak bursztyny oczy nie były oczami orła, ale czaił się w nich głęboki, drapieżny błysk.

– Wystarczy, Herr Hauptmann – powtórzył. – Myślę, że obejdzie się bez rozstrzeliwań.

Rosenfeld najwyraźniej ochłonął już nieco, bo przemówił spokojniej i ciszej:

– Herr Oberleutnant, nie zaprzeczycie, że wasi żołnierze zachowali się w sposób karygodny i haniebny!

– A to pierwszy raz, kiedy jeden żołnierz drugiemu obił pysk, albo dziób w knajpie na przepustce? Czy to jest rozsądne robić z tego sprawę państwowej wagi i rozstrzeliwać za zdradę ojczyzny?

– Nie pora na żarty, poruczniku, bo obaj wiemy, że nie poszło tu przecież o kłótnię, kto oszukiwał w kartach, tylko o otwarte wspieranie nieprzyjacielskiej władzy, jak można być wobec tego obojętnym.

„Chodzi o to, że ja i Brown Leaf jesteśmy tylko zwykłymi ziemnymi kucami, a takich jak my najchętniej byś wszystkich rozstrzelał na miejscu, stary pierdzielu.” – pomyślał Schwarz. „A gdyby Equestriańcowi Dieterowi się przy okazji oberwało, też byś nie płakał”.

– Pięć dni karceru co najmniej dla całej trójki – zakomenderował kapitan.

– Trzy – odparł Nordwind. Oczywiście zdawałoby się, że jakakolwiek próba sprzeciwu wobec Rosenfelda ze strony nie tylko kuca, ale i niższego stopniem powinna zakończyć się kolejnym wybuchem gniewu. Jednak wszyscy w kompanii wiedzieli, że z jakiegoś powodu Nordwind nie cieszył się u Rosenfelda bezwarunkową rasową nienawiścią, a stan ten zdecydowanie wynikał z czegoś innego, niż oficerska kultura i Kameradshaft^{7**}.

Rosenfeld wyglądał, jakby przez krótką chwilę bił się z myślami, po czym rzucił do żołnierza przy drzwiach:

^{6*} Dowódca plutonu

^{7**} Koleżeństwo

– Wyprowadzić ich na korytarz, pilnować, aż nie zawołam z powrotem.

Posłusznie wyszli i pod równie czujnym, co znudzonym okiem kaprała spędzili kolejne kilka minut na korytarzu oficerskiego baraku, próbując ukradkiem wyłowić jakieś słowo z toczącej się za zamkniętymi drzwiami przyciszonej rozmowy. Po chwili wezwano ich z powrotem. Wyrok: trzy dni karceru. Wychodząc pod eskortą zasalutowali kapitanowi i porucznikowi. Ten drugi skinął tylko głową i wyszedł tuż za nimi.

*

Po tygodniu stacjonowania pod Mareville regiment otrzymał świeże posiłki, nowa krew zasiliła przetrzebione kompanie i plutony. Nikt jednak nie potrafił odsunąć od siebie myśli, że lepsze byłoby wyświechtane porównanie z bydłem na rzeź.

Drużynie Schwarz Hammera przypadł w miejsce Fuchsa, którego los nadal pozostawał nieznany, Willi Sommer. Młodziak, jak wielu innych, z szarymi piórami wiecznie sterzącymi czubku głowy. Jeden z wielu. Przyjmowali ich i akceptowali – ale nic poza tym.

– To dzieciaki – stwierdził Gunther, gdy patrzyli, jak nowoprzybyli ustawiają się grupami na głównym placu pomiędzy barakami. – Wysłać ich do domu, a nie w okopy. Przecież większość poginie jak muchy w pierwszym szturmie.

Nie dopuszczali tych młodych, niedoświadczonych żołnierzyków do bliższej znajomości nie z pogardy. Robili to dlatego, aby się nie musieć wciąż oglądać śmierci tych, do których zdążyli się już przywiązać. Bo musieliby wtedy oszaleć, robiąc sobie i im złudne nadzieje. Chłodna rezerwa – to było najwłaściwsze.

Po okresie wypoczynku przygotowania do powrotu na front ruszyły pełną parą. Wydawano sprzęt, wymieniano stare, zniszczone mundury i broń. Otrzymali nowe, wprowadzone na początku roku hełmy stalowe na miejsce skórzanych pikielhaub, które nie zapewniały jakiegokolwiek ochrony przed kulami i odłamkami. Nowe hełmy były wielkie, ciążyły niemiłosiernie i opadały na oczy.

– Czuję się, jakby ktoś mi wsadził wiadro na łeb – skomentował Leer.

Po bokach dzwonu, gdzie znajdowały się przeznaczone do wentylacji dziurki, hełm miał niewielkie wypustki. Przy odrobinie wyobraźni mogły skojarzyć się z rogami, jakie nosili na hełmach wojownicy w mrocznych wiekach, kiedy to brutalna siła i ostrość miecza, a nie miotane kilometrami pociski decydowały o losach bitew. Hełmy w wersji przeznaczonej dla kuców miały dodatkowe otwory na uszy.

Wraz ze zbliżającym się powrotem na front powrócił wojskowy dryl i ćwiczenia. Strzelnica, rzucanie granatami, walka na bagnety, nocne marsze, podczas których snujące się wśród wieczornej mgły sylwetki w lśniących od rosy hełmach przypominały korowody widmowych rycerzy. Dla weteranów frontu to wszystko było niczym dziecinna igraszka.

Podczas manewrów na poligonie, gdzie ćwiczyli szturm okopów, z niezadowoleniem spoglądali na młodych żołnierzy. Gdy tylko padł sygnał do ataku, wyskakiwali ze swoich okopów, biegli naprzód w rzędzie, jeden przy drugim, wyprostowani.

– W ataku nie biegnij wyprostowany. Szukaj każdej dziury w ziemi, każdego leja. Jeśli nie będziesz się kryć, to od razu po tobie. Jak słyszysz, że nadlatuje pocisk, to od razu się chowaj. W ataku więcej ginie od odłamków niż od karabinów – tłumaczyli Williemu Otto i Schwarz. Starali się dzielić z nowicjuszami doświadczeniem, które im samym uratowało wielokrotnie skórę. Drobnymi radami, których nie nauczył ich żaden kapral na koszarowym placu ćwiczebnym, a które potrafiły stanowić granicę pomiędzy życiem a

śmiercią. Jak rozpoznawać rodzaje pocisków po dźwięku, jaki wydają, jak rozpoznać, czy granat spadnie daleko, czy blisko... Tyle mogli dla nich zrobić. Reszta zależała od nich i kaprysu wojennej fortuny.

*

Kawałek za Mareville znajdował się cmentarz z poprzedniej equestriańsko-gryfickiej wojny sprzed dwóch setek lat. Szerokie pole, otoczone szpalerem topoli, upstrzone nagrobkami equestriańskich poległych, z wyrastającym pośrodku pomnikiem żołnierza i skromnym mauzoleum generała, niejakiego Sharp Stara. Żadnego zbędnego monumentalizmu, żadnego patosu, jedynie pamięć o wydarzeniach dawnych lat.

Kawałek dalej, po kilku minutach marszu drogą, skryty w cieniu ustronnego lasu skromny cmentarzyk żołnierzy gryfickich. Rzędy skromnych nagrobków, nad którymi teraz dumnie powiewały sztandary: na jednej czerń, biel i czerwień flagi Rzeszy, na drugiej rozpościerał skrzydła cesarski czarny orzeł.

Na polu przy gryfickim cmentarzu zebrali się na uroczysty apel całym regimentem. Stali szeregiem w trójboku, spoglądając na drewnianą mównicę, na którą wkroczył wizytujący ich regiment dowódca dywizji, Generalleutnant von Adler. Na piersi munduru lśniły odznaczenia, a sam generał, o czarno-szarych piórach i nakrapianej niczym u pantery szarym futrze, promieniał aurą władzy i dostojności.

– Żołnierze Gryfickiej Rzeszy, którzy walczyliście w imię kraju i najjaśniejszego Cesarza! – przemówił donośnym głosem. – Zostaliście zebrani tutaj, aby oddać cześć i pamięć poległym, którzy, tak jak i wy, walczyli dzielnie dla chwały i honory ojczyzny, oddając za nią własną krew i własne życie! Teraz nadeszła kolej, byście to wy wypełnili ów historyczny obowiązek, walką i krwią spłacając swój dług wobec ojczyzny, przodków i Kajsera!

Przemawiał długo, przywołując za przykład chwalebne wojenne czyny bohaterów sprzed wielu stuleci, z dumą spoglądających, jak nowe pokolenie wojowników Gryffonii kładąc na szali swój żywot dumnie niesie dalej ich sztandar, własnym czynem zapisując się w księgach historii.

– Nie ma znaczenia, czy urodziliście się gryfem, czy też kucem, albowiem każdy, kto wiernie służy ojczyźnie jest na równi jej synem i jego pamięć nie będzie zapomniana. Kto jednak splamił siebie, swój regiment i swój kraj, niechaj będzie potępiony przez pokolenia!

Wiał lekki wiatr, wprawiając w łopot flagi, szumiąc liśćmi.

Skończyła się przemowa. Orkiestra odegrała hymn, który uniósł się nad drzewami, niesiony setkami głosów:

*So führe uns, du bist bewährt;
in Reichvertrau'n greif' zu dem Schwert,
Hoch Kaiser! Nieder mit der Brut!
Und tilg' die Schmach mit Feindesblut!*

*Lieb Vaterland, magst ruhig sein,
lieb Vaterland, magst ruhig sein,
Fest steht und treu die Wacht, die Wacht am Rand!
Fest steht und treu die Wacht am Western Rand! ^{8*}*

^{8*} Więc prowadź nas, zostałeś wybrany;

Wreszcie nadszedł czas powrotu na front. Załadowano ich do pociągów i ruszyli.

Ponownie siedzieli w wagonach sunącego wśród pól składu, a krajobrazy leniwie przesuwały się na zewnątrz. Chmury przetaczały się gęstymi tumanami po błękitnym niebie.

Przejeżdżali w pobliżu Hoofriver, gdy spośród chmur wychynęła flotylla sterowców. Schwarz spoglądał przez uchylone drzwi wagonu na potężne kształty, majestatycznie sunące przez przestworza ponad polami. Podniebne lewiatany regularnie bombardowały equestriańskie miasta i porty. Bomby spadały nawet na sam Canterlot. Balony zeppelinów płynęły niczym obłoki, a w podwieszanych pod ich przepastnymi brzuszyskami gondolach siedzieli żeglarze przestworzy, nie na swoich, lecz na skrzydłach techniki przemierzający nieboskłon. Tak, jak piechurzy w pociągu, zmierzali na zachód. A na zachodzie grzmiąły działa.

Z wiarą w Rzeszę chwytań miecz,
Niech żyje Cesarz, zginie wróg,
Krew wraża zmyje hańby brud!

Ojczyzno droga, nie lękaj się,
ojczyzno droga, nie lękaj się,
Silna i wierna stoi straż, straż nad Brzegiem!
Silna i wierna stoi straż nad Zachodnim Brzegiem

(Parafraza niemieckiej pieśni patriotycznej *Die Wacht am Rhein*)